NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

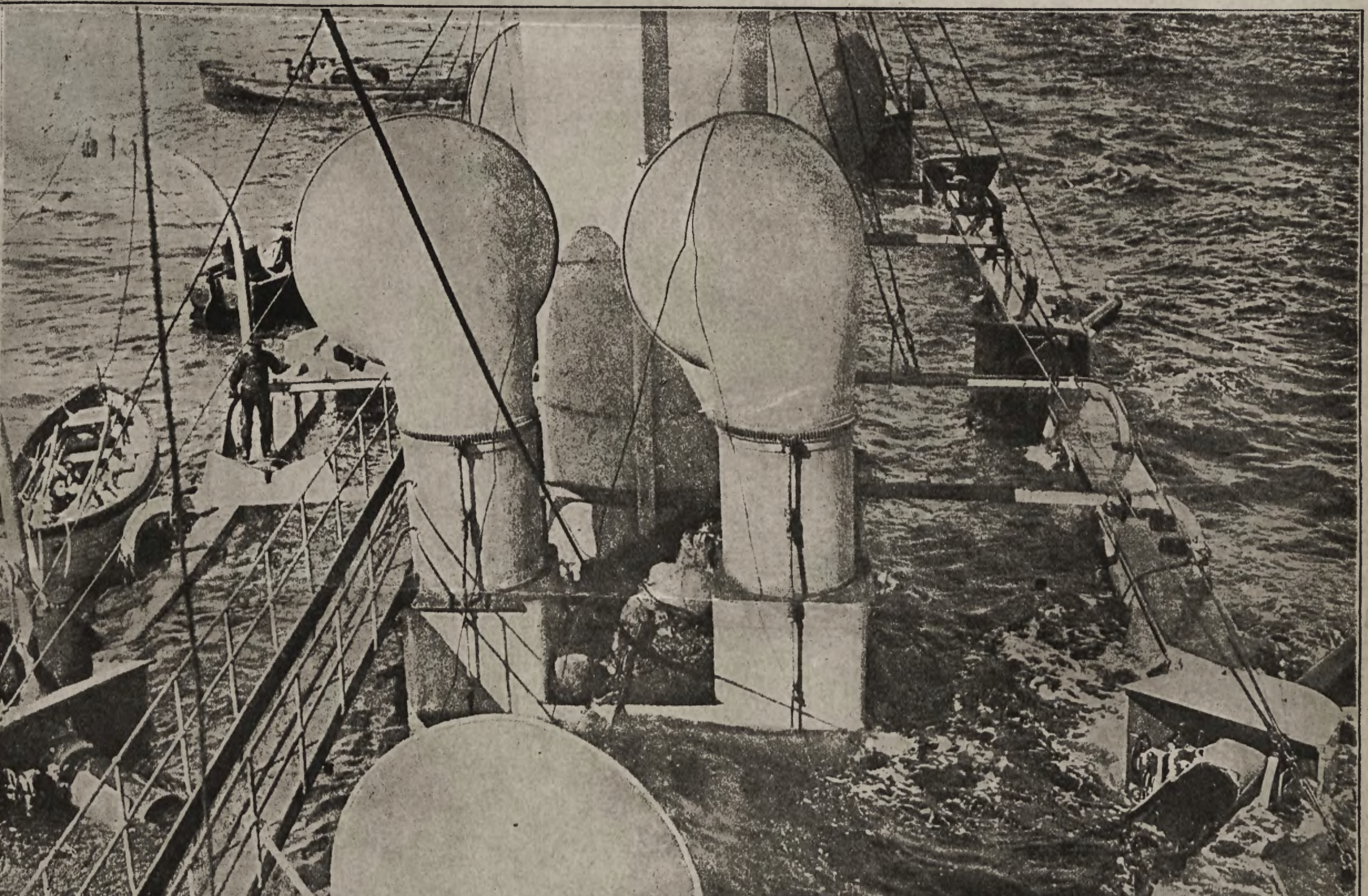
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. | **Kraków, 10 lutego 1917.** | **Nr 6.**

Ameryka przeciw wojnie podwodnej.



Tonący okręt.

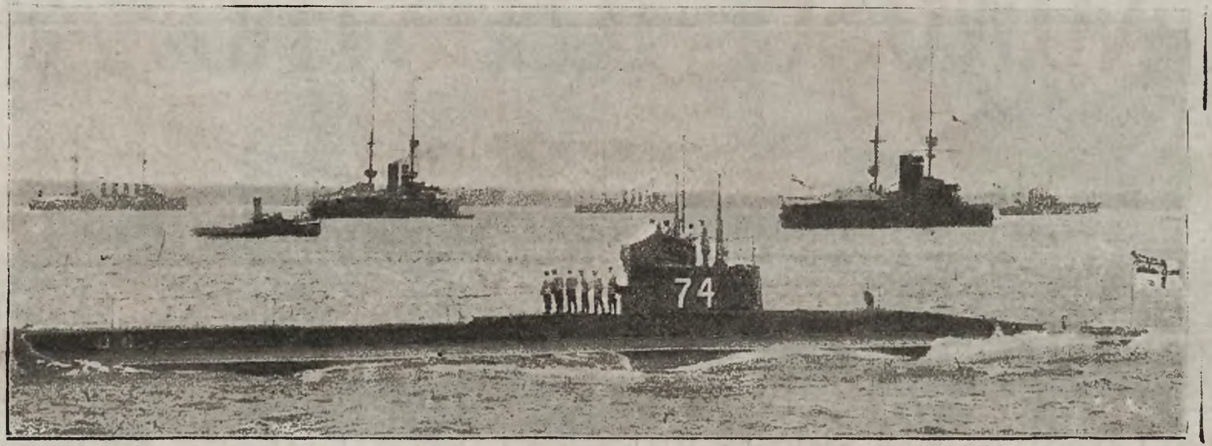
Ameryka przeciw wojnie podwodnej.

Po nocach pokojowych, które, jak się zdawało, wróżyły pomimo wszystko upragniony kres tej największej w dziejach wojny, niespodziewanie wyłonił się groźny zatarg. Wobec odrzucenia propozycyi pokojowych przez koalicyę, państwa centralne postanowiły chwycić się ostatecznego środka i rozpocząć z dniem 1. lutego b. r. bezwzględną wojnę łodziami podwodnemi.

To zaostrzenie walki na morzu, obwieszczone w nocie do państw neutralnych (treść noty zamieszczamy na str. 13) polega na tem, że odtąd Niemcy na wodach morza Północnego, Śródziemnego i oceanu Atlantyckiego przestają czynić różnicę między okrętem neutralnym a okrętem państw wrogich i zamierzają zatapiać bezwzględnie wszystkie statki, nawet szpitalne, a nadto zaniechają dotych zas obserwowanej (a przez Stany Zjednoczone wymuszonej) zasady, że łódź podwodna przed wyrzuceniem torpedy winna ostrzedz statek handlowy, aby dać załodze czas i sposobność ratowania życia. Odtąd wszelkie statki handlowe będą zatapiane bez ostrzeżenia.

Łódź podwodna już w dotychczasowem prowadzeniu wojny okazała się najgroźniejszą bronią w wojnie morskiej. Tysiące angielskich, francuskich i neutralnych okrętów poszło już na dno, a największe olbrzymy morskie były bezsilne w walce z tymi podwodnymi statkami. To też zapowiedź o zaostrzeniu tej walki wywołała ogromne wrażenie na całym świecie. Oczekiwano zwłaszcza z naprężeniem, jak się zachowają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Prezydent Wilson nie dał długo na siebie czekać. W kilka dni zaledwie po swem historycznem orędziu pokojowem wystąpił z nowem orędziem, które postawiło zakrwawioną Europę wobec nowego groźnego zatargu. Najpotężniejsze z neutralnych dotychczas mocarstw zerwało stosunki dyplomatyczne z Niemcami, a orędzie Wilsona (treść orędzia zamieszczamy na stronie 13) z całą stanowczością zapowiada, że Ameryka wszelkimi środkami jest gotowa wystąpić w obronie okrętów i obywateli amerykańskich, którzyby ucierpieli skutkiem zaostrzonej walki łodziami podwodnemi...

Tak więc po pierwszych jaskółkach pokoju pojawiły się na horyzoncie Europy nowe chmury. Wojna wchodzi w nową fazę zaostrzonej walki i nowych zatargów międzynarodowych... Co one przyniosą w rezultacie, najbliższa przyszłość okaże.



Ameryka przeciw wojnie podwodnej: Łódź podwodna, przed zanurzeniem się we fale.

Tydzień K. B. K.

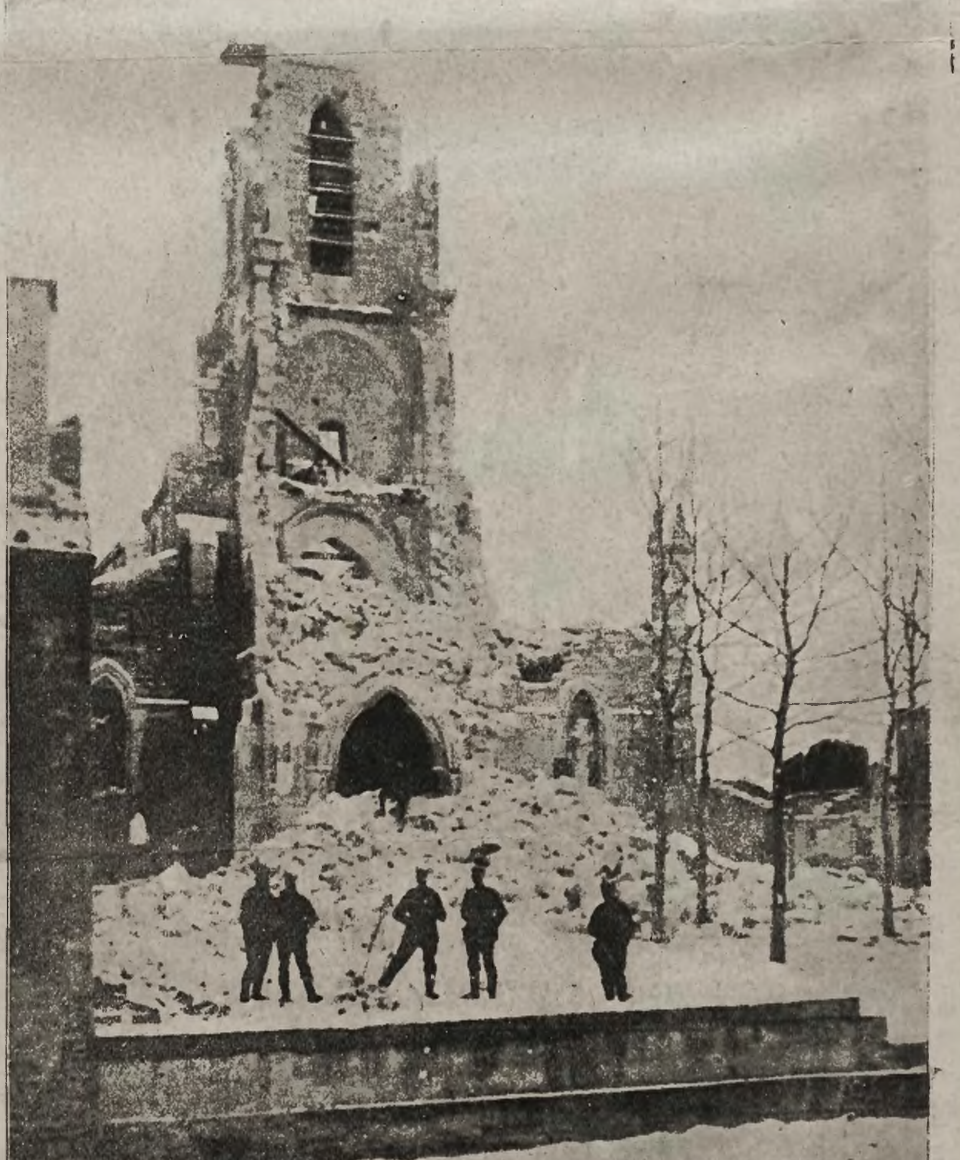
Pod hasłem „niech każdy da co dać może“ rozpoczął się w dniu 2. lutego i trwać będzie do 10. lutego b. r. „tydzień K. B. K.“ — zbieranie funduszów na cele Książęco-Biskupiego Komitetu Pomocy dla dotkniętych klęską wojny w Polsce. Na innem miejscu zamieszczamy odezwę Komitetu, którego apel znajdzie z pewnością gorący odzew w społeczeństwie i zasili wydatnie fundusze instytucyi, która już tak olbrzymie usługi położyła, ratując od nędzy, głodu i chorób ofiary wojny.

Niepodobna w krótkim artykule wyliczyć wszystkich dziedzin pomocy filantropijnej, obejmujących działalność Książęco Biskupiego Komitetu, który niósł pomoc w każdej formie i na różnych polach. — Wspomnimy tu tylko o jednej z dziedzin tej olbrzymiej pracy Komitetu.

Jednem z najzgubniejszych następstw obecnej wojny było pojawienie się na ogromnych obszarach ziem polskich chorób zaraźliwych, głównie tyfusu brzusznego, czerwonki i ospy. Wobec niewystarczających środków zapobiegawczych na miejscu, przystąpił Komitet Książęco biskupi do wielkiego dzieła opieki sanitarnej i powołał do życia szereg instytucyi dla podjęcia walki z zarazą. — W ten sposób powstały przedewszystkiem znane powszechnie Kolumny sanitarne K. B. K.

Przy pomocy młodzieży uniwersyteckiej, a pod naczelnem kierownictwem profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, dra Emila Godlewskiego młodszego, stanęły do walki z najgroźniejszym wrogiem niezmordowane oddziały sanitarne i, podążając do ognisk zarazy, poczęły ją zwalczać, zakładając kolejno szpitale zarówno w Galicyi, jak i w Królestwie Polskiem. W ten sposób powstały szpitale w miejscowościach: Zapałów, Sucha Wola, Rudna Różaniecka, Milków, Narol, Stare Sioło, Łańcut, Rakszawa, Albigowa, Jeżowe, Rudnik, Kamień, Pełkowice, Zawichost, Jaszczów, Piaski, Wygnanowice, Ćmielów,





Z frontów bojowych:

Karabin maszynowy w rowach strzeleckich 16. pułku piechoty obrony krajowej, służący do ostrzeliwania nieprzyjacielskich samolotów.

Kościół w wiosce francuskiej, położonej u stóp wzgórza 304, zburzony przez pociski armatnie.

Opatów, Łagów, Tarnogród, Radecznica — razem 22 szpitale z ogólną liczbą dni leczenia czterdzieści tysięcy. W każdym obwodzie, w którym umieszczono Kolumnę sanitarną, zamieszkiwał lekarz w punkcie środkowym, gdzie również ustawiano magazyny żywnościowe i aptekę główną dla szpitali sąsiednich. Tu była również siedziba Centrali dla dezynfekcyi mieszkań i studzien.

Kiedy stosunki sanitarne w Galicyi uległy poprawie, przeniesiono akcyę Kolumn sanitarnych na teren Królestwa Polskiego, gdzie podięto walkę głównie z tyfusem plamistym, dotąd jeszcze niewytępionym. Pod kierownictwem dra Kazimierza Dudeja i dra Maryana Konwerskiego pracowały Kolumny z największym wysiłkiem w obwodzie opatowskim, wierzbnickim, lubelskim, biłgorajskim, sandomierskim, krasnostawskim i zamojskim. Z liczby założonych tamże szpitali epidemicznych wobec niewygasającej zarazy czynnych jest jeszcze dziewięć szpitali, w których znajdują pomieszczenie niejednokrotnie chorzy-bezdomni.

Kolumny sanitarne podjęły zarazem przeprowadzanie dezynfekcyi i odczyszczania mieszkań, zakażonych przez chorych tyfusowych. Z doświadczeń, poczynionych przez Kolumny sanitarne pod tym względem, okazuje się, jako rzecz niezbędna, utworzenie w przyszłości wielkiej inwestycyi krajowej dla oczyszczenia domów w kraju i wytępienia w ten sposób zarazka choroby.

Dalszem dziełem sekcyi sanitarnej K. B. K. było podjęte w roku 1915 przy czynnej pomocy wszechnicy krakowskiej, szczepienie ochronne przeciw ospie, dokonane przez grupy młodzieży uniwersyteckiej zarówno w Galicyi, jak i w Królestwie Polskiem. — Wyszkolone i wyposażone przez K. B. K. rozjechały się setki młodzieży uniwersyteckiej i zaszczepiły przeciw ospie w Galicyi około dwa miliony, a w Królestwie Polskiem około czterysta tysięcy osób, dokonując w ten sposób dzieła o wielkiej doniosłości nie tylko w chwili obecnej, ale i na przyszłość, gdyż w ten sposób uwolniono znaczny obszar ziem polskich od klęski epidemii ospy na dłuższy przeciąg czasu.

Jak wielkiem było to dzieło opieki sanitarnej, podjętej przez K. B. K. a uwieńczonej zupełnem powodzeniem, illustruje wymownie kwota ogólnego wydatku na ten cel poniesionego, a mianowicie 1,400 000 koron.



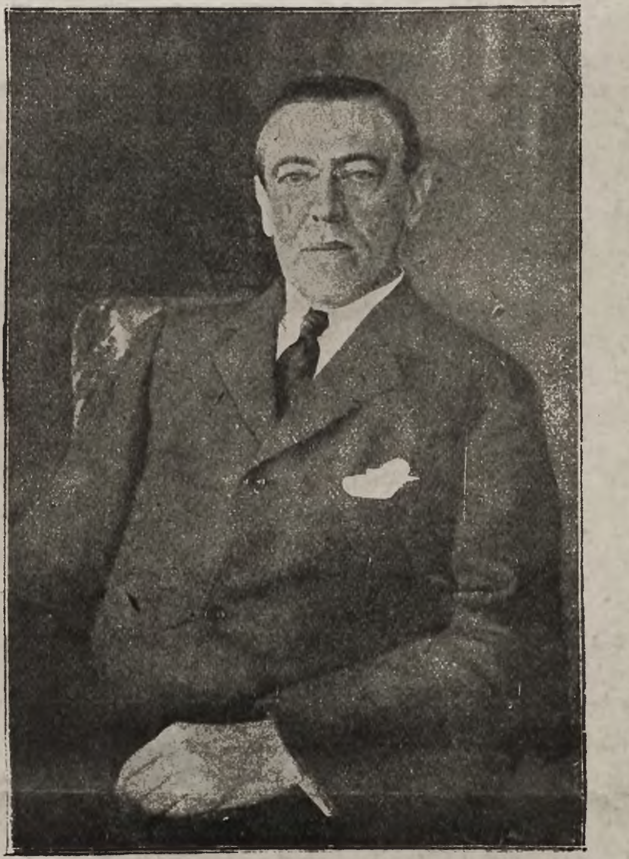
Tydzień K. B. K.: Pierwszy szpital w namiocie, urządzony w czasie ekspedycyi Kolumn sanitarnych w głąb Galicyi.



Z frontów bojowych: Płaszczyzna na szczycie wzgórza 304, widziana od strony niemieckich stanowisk. Cały obszar zniszczony zupełnie przez pociski armatnie.



Z frontów bojowych: Francuskie granaty, wystrzelone ze wzgórza 304, pękają w otwartem polu



Ameryka przeciw wojnie podwodnej: Prezydent Stanów Zjednoczonych W. Wilson.

Z frontów bojowych.

Najważniejszem wydarzeniem na frontach bojowych było w ostatnim tygodniu wzięcie szturmem francuskiego punktu obronnego na wschodniej części wzgórza 304, które było przedmiotem wielu już walk, a które zajęli obecnie Niemcy na przestrzeni tysiąc sześciuset metrów.

O znaczeniu tego sukcesu korespondent berlińskiego „Vorwärtsu" podaje następujące szczegóły:

„Przedsięwzięcie zostało troskliwie przygotowane. Po wstępnej czynności artyleryjskiej, wspartej jeszcze przez pionierów i miotacze min, mógł być atak wykonany w zamierzonej intenzywności. Skutkiem wykonanych równocześnie przedsięwzięć na flankach

linii głównego ataku, to jest w obszarze „Martwego Człowieka“ i na północny wschód od Avocourt, do tego stopnia nie był Francuz świadomy właściwych planów niemieckich, że nie byli w stanie zgromadzić w porę na wzgórzu dostatecznej obrony.

Strategiczne znaczenie sukcesu spoczywa przedewszystkiem na ważności odcinka, jakim jest wzgórze 304 i obszar na wschód od niego. To wzniesienie jest oddalone blizko o dwa kilometry od ważnej wsi Esnes, a oddzielone od niej doliną i dotykającemi tam mniejszemi wzniesieniami. Wskutek zajęcia przez Niemców tej części francuskich rowów, utworzyła się przerwa w obronnym froncie nieprzyjaciela, zagrażająca poważnie Esnes, a nadto ważne znaczenie dla niemieckiej artyleryi posiadająca. Aby zrządzone przez atak straty wyrównać, będzie zmuszone kierownictwo armii francuskiej zarządzić teraz co najmniej silniejsze obsadzenie całego obszaru przed Esnes, chociaż przez wzgórza 299, 310 i 239, na wschód od wsi, ma dogodne dla swej artyleryi punkty oparcia.

Niemiecka nowa linia frontu koło Verdun, zwłaszcza zaś na lewym brzegu Mozy, jest teraz wzmocniona szeregiem naturalnych punktów oparcia, które będą mogły stawić najsilniejszy opór Francuzom, w razie ich przeciwataku. Jest to mianowicie grzbiet wzgórza „Martwego Człowieka“ ze wzniesieniem 295, następnie rozszerzona obecnie pozycya na wzgórzu 304 i przytykające tu niemieckie pozycye leśne w lasach Malancourt i Avocourt“.

Na innych frontach, z powodu silnych mrozów, ustała żywsza akcya i ostatnie dni nie zaznaczyły się ważniejszemi wydarzeniami. To osłabienie akcyi nie przyniosło bynajmniej żadnej ulgi nieprzyjacielskim armiom na froncie rumuńskim, gdzie najżywsza toczy się działalność. Wojska sprzymierzone, pomimo ciężkich warunków atmosferycznych, posuwają się stale naprzód, wypierając zdziesiątkowane armie nieprzyjacielskie. Pogrom ostateczny armii rumuńskiej jest już faktem. Wedle wiadomości ze źródła, mającego jak najlepsze informacye, liczba poległych żołnierzy rumuńskich wynosi dwieście tysięcy.

Stwierdzono, że resztę armii rumuńskiej Rosyanie organizują na nowo w Bessarabii i w Multanach, zaopatrując ją także w broń, rynsztunek i artyleryę. Są pułki rumuńskie, liczące zaledwie sześćset ludzi. Największe straty zadała wojskom rumuńskim artylerya austryacko-węgierska. Pod Campolungiem, na przestrzeni jednego kilometra kwadratowego, policzono sześć tysięcy poległych Rumunów!

Wspomnieć jeszcze należy o rozpoczęciu akcyi, po dłuższej przerwie, nad rzeką Tygrysem w Azyi. Według komunikatu tureckiego Anglicy po silnem przygotowaniu działowem zaatakowali kilku oddziałami piechoty wszystkie pozycye na południe od Tygrysu i zmusili jeden batalion turecki cofnąć się z pierwszej do drugiej linii, lecz podjęty przeważającemi siłami atak na drugą linię został natychmiast odrzucony.

Na innych częściach frontu udało się Anglikom początkowo wtargnąć do pierwszych linii, ale wyrzucono ich przeciwuderzeniem na bagnety i zdobyto z powrotem pierwotne pozycye.

Łącznie z tą operacyą usiłowali Anglicy przy pomocy licznych, popartych przez piechotę i artyleryę, jeźdźców obejść prawe skrzydło wojsk tureckich, ale i tę próbę udaremniono, przyczem nieprzyjacielowi zadano straty ogniem piechoty i karabinów maszynowych.



Tydzień K. B. K.: Kolumna sanitarna w Zapałowie w Galicyi przed zburzonym dworem. 1) Prof. Godlewski, 2) dr. Bujak, 3) ks. W. Kudzia.



Z frontów bojowych. Ogólny widok miejscowości Senon, zniszczonej ogniem artyleryjskim w czasie walk o wzgórze 304.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

19

I kiedy teraz nagle zobaczył przed sobą Rużyckiego z kobietą młodą i piękną — ale nie z Józią — twarz jego rozpromieniła się. Poczuł do Ludwika coś, jakby żywą sympatyę, bo pochwycił zakochane spojrzenie, jakie Ludwik zatapiał w twarzy swej towarzyszki.

Jeżeli zajęty jest tą, nie będzie mu przeszkadzał przy Józi!

— Moje uszanowanie pani! — zawołał Stobiński, machając kapeluszem — Jakże się cieszę, że panią widzę! Moje uszanowanie!.. Najniższy sługa! Ludwik odkłonił się i rzucił krótkie:

— Moje uszanowanie!... — i rozrzęsiona dorożka potoczyła się dalej.

— Co to za jeden ten pan? — zapytała Hela, zgrabnie przeskakując rów — Nieprzyjemna fizyognomia...

— Więcej nawet, niż nieprzyjemna... Jest to niejaki profesor Stobiński, obecnie mój fortunny konkurent do ręki panny Józi... Ale, jak widzę, nie ma wcale zamiaru dać za wygraną...

Ludwik krótko opowiedział historyę konkurów Stobińskiego i zakończył z akcentem szczerego współczucia:

— Biedna dziewczyna!... Nie w najlepszem jest położeniu, bo ojciec jej to podobno skończony egoista i despota!..

Hela nie zdawała się jednak być zbyt przejętą kłopotami Józi.

— Minęły już czasy niewolnictwa — powiedziała chłodno — nikt ją przecież przemocą do ołtarza nie powlecze!... A jeżeli ojciec nie da się przekonać, to niechże opuści dom i pracuje na siebie.

— Łatwo to powiedzieć, ale ciekawym, jak ma pracować, w jaki sposób zarabiać na życie?

— No, przecież uczyła się czegoś, chodziła do szkoły...

— No tak, pewnie uczyła się tego i owego, ale z tego wszystkiego niewiele zostało w głowie... Pani chyba wie, że takie połapane to i owo bez określonego zawodu chleba nie da, zwłaszcza kobiecie... Zresztą panna Józia nie jest stworzona do samodzielnej pracy... Z jej urodą i temperamentem i lekkomyślnem usposobieniem iść samej w życie — to rzecz nadto śliska i niebezpieczna.

— Więc ona ma zostać zawsze niemowlęciem, któremu się podaje „papu"?... — wybuchnęła Hela, niemile podrażniona słowami Ludwika, w których wyczuwała uznanie dla wartości kobiecych Józi — Nie uznaję, nie rozumiem takiego niedołęstwa!...

— Boże, z pani jest straszna, zawzięta emancypantka! — uśmiechnął się Ludwik.

— Emancypantka?! Niech będzie! Nie wstydzę się tego wcale!... O! Wy wszyscy mężczyźni umiecie wyszydzić każde dążenie kobiety do samodzielnej pracy, umiecie kłaść istotnym, czy mniemanym emancypantkom kamienie pod nogi, jeżeli zechcą wywalczyć sobie niezależny byt... Tylko, kiedy ożenicie się z kobietą która pracować nie chce i nie umie, której pragnienia streszczają się w tem, żeby mieć dużo służących, dużo adoratorów i jak najwięcej strojów, to wtedy słyszy się o ciężarze nad siły, o zmarnowanem życiu, o kuli u nogi... Zdaje mi się, że ta piękna Józia jest właśnie doskonałym materyałem na taką kulę u nogi.

— Ma pani słuszność! — odparł krótko Ludwik.

Hela, rozbrojona tem przyznaniem jej słuszności, zawstydziła się swego uniesienia, które ją popchnęło do nazbyt ostrych sądów o drugiej kobiecie.

Zaczęła też zaraz cofać się.

— Może ja się zresztą mylę co do panny Maliniewicz... Ona, zdaje się, ma bardzo dobre serce i prawdopodobnie także jakieś głębsze zasady, które dopiero konieczność może wydobyć na jaw. Ciekawa jestem, jak ona sobie poradzi... Będzie to dla mnie próbą jej charakteru...

— — — — — — — — — — — —

Przed oplecionym festonami dzikiego wina gankiem dworu zalesińskiego zatrzymała się dorożka, z której wysiadł pan Stobiński.

Walczakowa, która z książką w ręku siedziała na ganku, spojrzała zdziwiona na nieznanego jej gościa. Zamknęła książkę i szybko zeszła z kamiennych schodków.

Kiedy Stobiński zobaczył młodą, ładną kobietę w ciemnym, gustownym szlafroczku, domyślił się, że ma panią domu przed sobą.

— Szanowna pani pozwoli, że zapytam — rzekł, zginając się niemal w pół w ukłonie — czy z panią Walczakową mam przyjemność?

— Tak jest!

— Pani dobrodziejka pozwolić raczy, że się przedstawię... Jestem Aleksander Stobiński, profesor gimnazyalny z Krakowa... Przepraszam, stokrotnie przepraszam za moje niespodziane przybycie, za ten mój, że się tak wyrażę, napad... Pani dobrodziejka zechce łaskawie wybaczyć, ale zachodzi tutaj wypadek wyjątkowy... Przybywam z polecenia pana radcy Maliniewicza, który przezemnie zasyła szanownej pani dobrodziejce najniższe ukłony... Muszę koniecznie widzieć się zaraz, jak najprędzej, z panną Józefą Maliniewiczówną w sprawie bardzo ważnej, niesłychanie doniosłej... Pani dobrodziejka daruje, zechce wybaczyć...

Anielka drgnęła. Doznała uczucia poprostu fizycznej przykrości, kiedy uświadomiła sobie, że w objęciach tego satyra o wysuniętej, jak u buldoga dolnej szczęce, o rozbieganych, chytrych, zielonawo połyskujących, dziwnie nieprzyjemnych oczach i sinawych, zmysłowych ustach, mogłaby się znaleźć jej milutka, śliczna przyjaciółka.

Młoda kobieta zapanowała jednak nad odruchem niechęci. Zwyciężył nałóg grzeczności towarzyskiej i poczucie gościnności.

Z bladym uśmiechem wyciągnęła rękę do Stobińskiego.

— Bardzo mi miło... Proszę, niech pan pozwoli dalej... Zaraz zawołam Józię... Pan może zmęczony z podróży... Zechce pan wypocząć trochę...

— O, pani dobrodziejko! Ja pragnąłbym jak najmniej kłopotu robić moją osobą! Dziękuję uniżenie! Całuję rączki! Nie jestem wcale zmęczony... Poczekam sobie tutaj, na tym ślicznym ganku. Co za rozkoszny zakątek. Jak tutaj pięknie, cudownie, czarująco...

Anielka nie słyszała dalszej litanii zachwytów pana Sobińskiego, bo poszła do sadu, gdzie właśnie otrząsano z drzew śliwki.

Ogrodniczek Antoś siedział na rozłożystej śliwie i wstrząsał silnie gałęziami.

Dojrzałe, ciemno granatowe śliwki leciały, jak grad, spadały na trawę i na głowy, ramiona i plecy osób, znajdujących się pod drzewem.

Drugi ogrodniczek, służące Kasia i Jagusia, a wraz z nimi Józia Maliniewiczówna biegali, podnosili owoce i układali je w koszykach. Pełno było przytem gwaru, śmiechu, hałasu.

Józia, w krótkiej domowej, perkalikowej sukience w ciemne paski, z warkoczami, puszczonymi luźno na plecy, śmiała się najgłośniej, biegała najszybciej i najwięcej robiła hałasu.

Trochę pomagała, trochę przeszkadzała, ale najwidoczniej bawiła się doskonale i cieszyła się dziecinnie tem ruchliwem zajęciem.

Śmiech jej prawie bezustannie dzwonił srebrzystą gamą.

Gdyby nie krągło rozwinięte kształty, możnaby ją w tej krótkiej sukience, z tymi rozwianymi, naturalnie wijącymi się włosami wziąć za małą, rozswawoloną dziewczynkę.

Wreszcie zmęczyła się nieco. Przystanęła, wyprostowała się i wziąwszy w rękę kilka śliwek, zatopiła białe, ostre ząbki w soczystym, słodkim miąższu owocu.

Kiedy zaspokoiła głód, drobne jej nóżki, obute w płytkie, płócienne pantofelki, znowu się zaplątały po trawie.

Kasia trąciła Jagusię i szepnęła jej:

— Wiesz, Jaguś, panienka to ci taka urodna, jak różyczka, a wesolutka, kiej szczygiełek...

Józia jakby chcąc dać silniejszy wyraz swej wesołości, zawiodła czystym, dźwięcznym głosem na skoczną nutę:

„Kiele mego ogródeczka
Zakwitała jabłoneczka,
Jabłoneczka zakwitała,
Czerwone jabłuszka miała,
A ktoż mi je będzie zrywoł,
Kiej..."

Nie dokończyła, bo w tej chwili Anielka położyła jej rękę na ramieniu.

— Józiu, chodź! Masz gościa...

Józia, która właśnie bardzo starannie układała śliwki w koszyku, spojrzała zdziwiona.

— Gościa?... — zapytała, nie przerywając swojej roboty — Któż to taki? Chyba Michcik? Eh! To żaden gość... Niech tutaj przyjdzie, to mi będzie pomagał...

— Nie! To ktoś z Krakowa...

Dziewczyna wyprostowała się nagle. W roześmianych przed chwilą źrenicach zamigotał niepokój.

— Kto przyjechał?! Tatuś?! A może Kazia?

— Nie, to pan Stobiński...

Jasne oczy Józi rozwarły się szeroko zdumieniem.

— Co?! Stobiński?!...

— Tak jest, on sam... Powiada, że przybył z polecenia twego ojca. Pragnie widzieć się z tobą zaraz... Chodź więc.

— Jak on śmie! Więc nawet tutaj nie mogę być spokojna?! Nawet tutaj mnie znalazł?! A to bezczelność! Napastować wasz dom! Proszę cię, moja najdroższa, powiedz mu, że ja się z nim widzieć nie chcę i niech sobie natychmiast jedzie, skąd przyjechał...

— Tego zrobić nie można. Ten pan twierdzi, że jest w porozumieniu z twoim ojcem. Obraziłabyś więc ojca.

— Nie! Ten bezczelny przyjazd do Zalesinek, to już oryginalny pomysł tego pana Stobińskiego... Jaki tam mój ojciec jest, to jest, ale ma poszanowanie dla zwyczajów towarzyskich.

— To wszystko jedno! W tym wypadku niestosowność towarzyska jest rzeczą podrzędną. Bądź odważna, Józiu, zdobądź się na zimną krew i chodź!

— O! Jak ja go nienawidzę! Tego... tego...

— Właśnie masz doskonałą sposobność, aby mu to powiedzieć. Rozmówisz się z nim szczerze i otwarcie.. Powiesz mu: nie wyjdę za pana i koniec. Chodź!

— No, to już idę, kiedy ty mówisz, że tak być musi! — szepnęła żałośnie Józia — Ach, mój Boże! Ze też to ja nie mogę mieć niezamąconego dnia radości. Tak mi dzisiaj dobrze było i wesoło. Cały świat byłabym ściskała i całowała, naturalnie z wyjątkiem pana Stobińskiego... O jego istnieniu zapomniałam zupełnie. I tu masz!

Te słowa skargi rozrzewniły zupełnie Walczakową. Objęła ramieniem przyjaciółkę i pocałowała ją, jakby chcąc jej tym serdecznym, siostrzanym pocałunkiem dodać odwagi.

— Trudno, moje biedne dziecko! Trzeba... Życie nie z samych miłych chwil się składa!

— Oj! Nie...

Anielka szła naprzód, a Józia za nią ze spuszczoną głową, z miną skazańca.

Służąca Jagusia, która obserwowała tę scenę, powiedziała do swej towarzyszki:

— Jakąś niedobrą nowinę musiała pani panience powiedzieć, bo panienka ze szczętem osowiała.

Kiedy Józia, z nieprzygasłymi jeszcze rumieńcami na policzkach i z płomieniem gniewu w oczach, stanęła przed swoim konkurentem, to Stobiński o mało nie krzyknął z podziwu, tak mu się dziewczyna wydała niezwykle, olśniewająco piękną.

Przez te kilka miesięcy swobody uroda Józi rozkwitła tak, jakby brylantowe krople rosy podarowały jej swoją świeżość poranną, słońce skąpało w blaskach złotych, a kwiaty polne oddały policzkom, ustom i oczom coś z barw swoich i kras.

Z uroczego, ale bladego, anemicznego pączka rozwijał się kwiat przepyszny, tchnący pełnią ponęt.

Stobiński patrzył i na razie zapomniał nawet o przywitaniu.

Dopiero po chwili otrzeźwiło go wzgardliwe spojrzenie Józi, która stała przed nim dumna i gniewna.

Dziewczyna dotknęła wyciągniętej ku niej ręki mężczyzny końcami palców, cofnęła je zaraz i przerwała tyradę powitalną krótkiem i ostrem pytaniem:

— Co mi pan ma do powiedzenia... od ojca?

Anielka pociągnęła przyjaciółkę nieznacznie za suknię, chcąc jej dać do zrozumienia, że zachowała się niezbyt taktownie. Ale Józia nie zważała na tę niemą przestrogę. Była nadto wzburzoną.

Na widok Stobińskiego dreszcz wstrętu wstrząsnął jej nerwami i spotęgował się gniew.

Stobiński, zagadnięty tak „prosto z mostu", w pierwszej chwili stropił się, ale zaraz odzyskał panowanie nad sobą i powiedział spokojnie, głosem nieco przyciszonym:

— Do powiedzenia mam pani dużo i to rzeczy bardzo ważnych. Ale, sądzę, że tutaj, w tej chwili...

— Może pan mówić! Ja nie mam tajemnic...

— Ależ, Józiu... — wmieszała się Walczakowa — poproszę pana do swego pokoju. Tam pomówicie sobie swobodnie.

Józia, nie chcąc się sprzeciwiać, w milczeniu, z wdętemi gniewnie ustami, skierowała się w głąb domu.

Stobiński szedł za nią, rzucając bezradne spojrzenia na swoją torebkę podróżną, z którą nie wiedział, co począć.

Walczakowa spostrzegła ten kłopot gościa i zawstydziła się trochę, że bądź, co bądź, uchybiła obowiązkom dobrej gospodyni.

— Proszę, pan pozwoli... Janie! — zawołała na

lokaja — Weź tę torebkę i zanieś ją do „zielonego pokoju".

— Dziękuję ślicznie... Całuję rączki, pani dobrodziejko... Zaraz... zaraz.. ja tylko wyjmę...

Stobiński wyjął z torebki okrągłe pudełko, owinięte starannie w seledynową bibułkę, związaną różową wstążeczką.

— — — — — — — — — — — —

Józia bez słowa otworzyła drzwi pokoju, który zajmowała sama i weszła, nie oglądając się nawet, czy Stobiński idzie za nią.

Dolną wargę przycięła silnie zębami. W głębiach jej oczu czaiła się trwoga.

Józia starała się zapanować nad sobą i zachować spokój, ale w istocie drżała na myśl o rozmowie, która ją czeka.

Stobiński wsunął się do pokoju prawie bezszelestnie. Z głębokim ukłonem i najsłodszym uśmiechem podał Józi pudełko.

— Pani raczy przyjąć. Trochę cukierków...

Wzięła pudełko i położyła na stole, nie dziękując wcale.

— Czemu zawdzięczam pańską niespodzianą wizytę... w obcym domu? — zapytała chmurnie.

Stobiński usiłował wywołać jakiś cieplejszy, swobodniejszy nastrój.

— Jaka pani niedobra... niegościnna... Siadać mnie nawet nie prosi...

— Niech pan siada, jeżeli to panu wygodniej... Sądzę, że rozmowa nasza krótką będzie.

Usiadł i przez chwilę nie mówił nic, pożerając formalnie wzrokiem piękną dziewczynę sycąc oczy różaną świeżością jej twarzy i harmonijną linią całej postaci.

Ten wzgardliwy chłód, jaki wiał od Józi, podniecał w nim jeszcze silniej upór i namiętność.

— Więc powtarzam moje pytanie. — rzuciła niecierpliwie Józia — Dlaczego i po co przyjechał pan do tego domu, w którym ja sama gościem tylko jestem?...

— Wiem, że popełniłem nietakt towarzyski, ale musiałem.. Wszak ojciec pani pisał o mojem... mojem... najgorętszem pragnieniu?..

— Ja też zaraz odpisałam... Czy ojciec powiadomił pana o treści tego listu?...

— Tak jest.

— I pan mimo to przyjechał?

— Właśnie dlatego.

— Ciekawa logika!

Stobiński wstał i zbliżył się do Józi. Oczy mu pałały, wargi poruszały się jakimś brzydkim, nerwowym ruchem.

— Miłość nie zna logiki... Ja panią kocham, panno Józiu!...

Chciał dodać jeszcze jakieś gorętsze słowa wyznania, ale zamarły mu one na ustach. Zimne, władcze spojrzenie Józi uderzyło go jak pięścią i nakazało milczenie.

— Ale ja pana nie kocham i żoną pańską nie zostanę nigdy! — powiedziała dziewczyna, cofając się o kilka kroków wstecz, bo jej się zdawało, że Stobiński chce ją ująć za rękę.

— Pani zna mnie tak mało, ale kiedy mnie pani pozna bliżej...

— Nie mam wcale zamiaru bliżej pana poznać...

— Panno Józiu...

— Zechce pan nie nazywać mnie Józią. Nazywam się Józefa Maliniewicz.

Cierpliwość Stobińskiego zaczynała się wyczerpywać, w oczach jego jęły migotać złe błyski.

Panował jednak nad sobą.

— Pani wie... Jestem człowiekiem na stanowisku, mam stałą posadę.. pensyę... Będę miał większą... Wkrótce otrzymam wyższą rangę...

— To mnie nic a nic nie obchodzi...

— Niech pani zechce mnie wysłuchać do końca — powiedział już jakimś twardszym głosem — Mogę utrzymać żonę, będę się starał uszczęśliwić panią...

— Dziękuję panu za dobre chęci, ale się obejdę!

— ...a tymczasem pani — mówił dalej, nie zwracając pozornie żadnej uwagi na jej słowa — znajdzie się wkrótce w niemiłem położeniu... U pani Walczakowej nie może pani przecież wiecznie siedzieć, a wrócić do domu nie wiem, czy będzie bardzo przyjemnie... Ojczulek bowiem żeni się..

— Co?!... Ojciec się żeni?! Z kim?! — wykrzyknęła Józia, zdumiona i przerażona.

— Z panią Kalityńską...

— Z tą wdową?!

— Tak!...

W wyobraźni Józi przesunęła się wysoka, tęga kobieta o twarzy bardzo białej, przeciętej krwawą smugą ust. Kobietę tę widziała kilka razy na ulicy w towarzystwie ojca i z właściwą sobie impulsywnością powzięła do niej odrazu antypatyę.

I teraz ona, ta obca, niemiła pani z malowanymi na kolor złoty włosami, o oczach zielonych, jak chryzolity, które świeciły blaskiem zimnym, ostrym — zajmie miejsce ukochanej matki... Ona będzie panią domu!...

Józia zrozumiała, że dla dorosłej córki zabraknie miejsca w domu ojcowskim, bo tamta kobieta nie zniesie jej obok siebie...

— Boże!...

Osunęła się na krzesło i zakryła twarz rękami.

— Panno Józiu... proszę się nie martwić... Widzi pani... Ja będę pani opiekunem...

Józia poczuła gorący oddech Stobińskiego bardzo blizko swojej twarzy. To ją otrzeźwiło odrazu i przywróciło jej panowanie nad sobą. Wstała i spokojnie już, choć posępnie, powiedziała:

— To nie ma nic do rzeczy... Nie mogę ojcu zabronić żenić się, kiedy taka jego wola, ale także ojciec nie może mnie zmusić, abym szła za mąż, jeżeli mi się nie podoba...

— Pożycie z przyszłą mamusią może być dosyć... dosyć nieprzyjemne... Ona stanowczo nie życzy sobie córeczek w domu... Pannę Kazię oddaje pan radca na pensyę. — powiedział Stobiński, kładąc nacisk na niektóre słowa.

— Kazia, to co innego... Ja jestem już dorosła... Będę pracowała na siebie... Choćby najcięższej roboty się chwycę...

Stobiński roześmiał się.

— Dziecinada! Pani do pracy takiej nie stworzona... I pani myśli, że to tak łatwo zarabiać?...

— Może się pan o mnie nie troszczyć.

— Nie usłucham pani w tym wypadku i będę się nadal troszczył!... Pan Maliniewicz gorąco, stanowczo, niezłomnie życzy sobie, abym ja zapewnił przyszłość pani, bo zna moje uczucia... Panno Józefo, proszę nie zapominać, że do pełnoletności jeszcze daleko pani...

Józia zadrżała mimowolnie.

— O tem pamiętam bardzo dobrze, bo, gdybym była pełnoletnią, to pana nie byłoby tutaj w tej chwili... Ale wszystko jedno!... Nie jestem martwym sprzętem domowym, żeby mnie można było sprzedać, albo podarować..

— Co za myśl!... Ale można panią prosić, aby pani oddała swoją rękę człowiekowi, który panią kocha i chce zapewnić wygodne, dostatnie życie...

— Ja nie chcę pańskiej miłości, ani pańskiego wygodnego życia!...

— Kaprysy!.. Kaprysy... — uśmiechnął się Stobiński z przymusem — Ja jednak nie przestanę walczyć o moje szczęście!... I nie ustąpię, zapowiadam... A jestem cierpliwy i uparty!..

Namiętny upór, jaki przezierał z oczu Stobińskiego i ton jego głosu przeraził Józię. Dziewczyna z lękiem pomyślała o walce długiej i zaciętej, jaką jej toczyć przyjdzie. Ojca bała się i drżała na samą myśl stanowczej z nim rozmowy.

Dziewczęca naiwność podszepnęła jej desperacki pomysł. Postanowiła tak siebie oczernić, aby zupełnie zniechęcić natarczywego konkurenta.

— Panie! — zaczęła — Pan nie przypuszcza nawet, jakieby pan nieszczęście ściągnął na siebie, żeniąc się ze mną... Czy pan wie, jaka jestem?...

— Ja panią uwielbiam właśnie taką, jaką pani jest!...

— Ja jestem leniwa!... Robić nic nie chcę i nie umiem!...

— Ależ ja nie będę wymagał, żeby pani cośkolwiek robiła!...

— Ja się nie znam na gospodarstwie!..

— Nic nie szkodzi.. Weźmiemy dobrą służącą!...

— Nienawidzę gospodarstwa!...

— Powoli przyzwyczai się pani...

— Nigdybym się nie przyzwyczaiła!... Ja chcę się stroić!...

— To dobrze... Tak piękna kobieta powinna być elegancko ubrana...

— Ja chcę wyjeżdżać!...

— Będzie pani jeździła do Krynicy... do Zakopanego... za granicę... nad morze... w góry... dokąd pani zechce — powiedział Stobiński z pobłażliwym uśmiechem, który zdawał się mówić: „Jakaś ty naiwna, moja panienko"...

— Ależ, pan musiałby mieć dużo pieniędzy!...

— Będę je miał...

— Ja bez zabawy życia nie rozumiem!...

— Będziemy się bawić razem...

— Co, razem?!.. — zawołała Józia, chcąc już raz wreszcie skruszyć spokój Stobińskiego — Jabym nigdzie nie chodziła z panem razem!... Jabym musiała mieć towarzystwo koło siebie... Młodych ludzi.

— Ja mam kolegów, znajomych, ludzi bardzo statecznych i przyzwoitych... Przedstawię ich pani...

— Co? Pańskich znajomych?! Może jeszcze do pana podobnych?! O! Nie! Za takie towarzystwo dziękuję!... Jabym sobie dobierała ślicznych, miłych, eleganckich przyjaciół domu — rzuciła ostatni atut — Rozumie pan? Przyjaciół domu!...

Stobiński rozumiał dobrze dość przejrzystą i naiwną grę Józi.

Jednak na wzmiankę o „przyjaciołach domu" oczy jego błysnęły złowrogo, a dolna szczęka skurczyła się tak drapieżnie, że Józia pobladła i mimowolnie cofnęła się przestraszona.

Zapanował jednak nad sobą. Straszliwy wyraz swej twarzy usiłował złagodzić uśmiechem. Przemówił żartobliwie:

— A, fe... Co za brzydkie żarty.. Młoda, skromna panienka nie powinna nawet znać podobnych słów i myśli. Zresztą ja pani do czegoś podobnego nie dam sposobności.

Tego było już Józi dosyć. Wybuchowy, porywczy temperament wziął górę nad wymuszonym spokojem.

— To panu jeszcze się zdaje, że pan będzie mógł mi dawać sposobność, albo nie dawać!... Ja się obejdę bez pańskich sposobności... Nie dam się zmusić. Nigdy, nigdy!...

— Ojciec pani... — usiłował przerwać jej Stobiński, ale Józia nie pozwoliła mu dokończyć.

— Wszystko jedno! Żeby tam ojciec, żeby tam sam cesarz, żeby tam nie wiedzieć kto.. Nie i nie! Nienawidzę pana! Brzydzę się panem! O! Tyle sobie z pana robię, co i z tego...

Józia pochwyciła owinięte w seledynową bibułkę pudełko i rzuciła niem z całej siły o ziemię.

Przerwała się bibułka, pękła tektura i białe, różowe, kremowe pomadki rozsypały się wokół po dywanie.

I trzasnąwszy głośno drzwiami, Józia wybiegła z pokoju.

Stobiński zatrząsł się i już nie pobladł, ale zzieleniał formalnie z gniewu i z zaciśniętemi pięściami rzucił się ku drzwiom.

Po chwili jednak opanował się i zatrzymał.

— — — — — — — — — — — —

— Józiu, Józiu! — wołała Walczakowa, widząc, że przyjaciółka biegnie jak szalona przez dziedziniec — Czekaj! Gdzie ty tak lecisz?!

Ale Józia nie słyszała jej, była już w swojej ulubionej alei lipowej. Tam, całym ciężarem ciała opadła na ławkę i zaczęła szlochać głośno, rozpaczliwie.

Wymuszony spokój prysnął i łzy, przemocą poprzednio tłumione, płynęły teraz obficie.

Walczakowa pospieszyła za nią, chcąc zapytać o treść rozmowy z Stobińskim, ale Józia, jakby jakąś nową myślą tknięta, zerwała się nagle z ławki. Otarła łzy i pędem pomknęła w stronę wsi.

Biegła prosto w kierunku domu, w którym mieszkał Michnik.

Wpadła do ciemnawej sionki i gwałtownie zapukała do drzwi.

— Proszę! — zawołał nauczyciel, jednocześnie sam otwierając drzwi.

Ze zdumieniem zobaczył przed sobą Józię. Poznał odrazu, że płakała, a widząc w jej twarzy wyraz niezwykłego wzburzenia, domyślił się, że stało się coś niespodziewanego, a przykrego.

— Pani tutaj!... Panno Józiu... Pani miała jakąś przykrość... Pani płakała... Co się stało?!

Po drugiej stronie domu gdzie mieszkała gospodyni, z rodziną, skrzypnęły lekko drzwi. Wychyliła głowę sama gospodyni, zerknęła bystremi oczkami młoda jej córka, wysunął rozwichrzoną płową czuprynę niedorosły chłopak.

Józia spostrzegła, że śledzą ją ciekawe spojrzenia.

— Zaraz panu powiem wszystko... Po to przyszłam... Niech pan weźmie kapelusz i idzie ze mną w pole, do lasu, gdziekolwiek...

Michnik, nie wziąwszy nawet kapelusza, w jednej chwili znalazł się za progiem.

Wyszli z chaty i skierowali się na znaną sobie wązką polną drogę.

Szli tak blizko siebie, że włosy dziewczyny, które wiatr rozwiewał, muskały skronie młodzieńca.

Józia szybko bezładnie, urywanemi, niejasnemi zdaniami opowiadała o swoich strapieniach...

O tem, że ojciec się żeni, że pani Kalityńska ma malowane włosy i oczy zimne, ostre jak stal i nie życzy sobie mieć w domu pasierbic, że ojciec chce ją, Józię wydać za mąż za pana Stobińskiego, który jest wstrętny, wstrętny i jeszcze raz wstrętny. I ojciec chce ją zmusić, a Stobiński powiedział, że nie ustąpi.

A ona, Józia jest niepełnoletnia i strasznie nieszczęśliwa i okropnie bezradna... I chyba umrze, albo zwaryuje, albo już sama nie wie, co ze sobą zrobi...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Opieka nad sierotami wojennemi.

Długo trwająca wojna nieznośnem brzemieniem przygniotła kraje i narody. Ale, gdy jedni pochwycili za broń, sieją śmierć i zgubę, drudzy wzięli do rąk oręż miłości — by goić rany, bronią mordercz zadane. Też dzieł cudnych, czynów wielkich, dokonała ta druga armia, kierowana przez miłość chrześcijańską. — Dzieła tej miłości w czasie wojny — przypomniał nam teraz „Tydzień K. B K“, który dał inicyatywę i pomoc do tylu pięknych czynów.

Jedno z tych dzieł, może mniej głośne, ale więcej nad inne miłe, pociągające, chcemy przypomnieć, to jest schronisko sierót wojennych w Białym Prądniku. Jest to niemal pierwsza instytucya z tak licznych dzisiaj domów sierocych. — Myśl założenia „Domu sierót“ wyszła z grona pań krakowskich, tworzących tak dobrze zasłużony „Komitet doraźnej pomocy dla ewakuowanych“. Gdy wieści o losie sierót w barakach w Chocni i Libnicy, jeździły tam panie nasze, widziały cmentarz dziecięcy — a zdjęte lękiem, w żalu i płaczu — powzięły myśl, aby dzieci-sieroty sprowadzić do kraju i umieścić w schronisku, przytulić je, uratować, wyrwać śmierci

Z początkiem września 1915 roku „Dom sierót“ przygarnął już czterdzieści sierót po uchodźcach; zawitali do domu w Białym Prądniku, ofiarowanego bezinteresownie na ten cel przez cichych a wielkich filan ropów — pp. Konstantynostwo Biszczyńskich — pierwsi goście z baraków w Chocni i Libnicy. Kiedy z początkiem 1916 roku rozwiązał się „Komitet doraźnej pomocy“, „Domem sierot“ w Prądniku Białym opiekuje się osobny komitet pod przewodnictwem p. Z. Popiel i p. J. Godlewskiej przy pomocy K. B K.

„Dom sierót“ mieści dziewięćdziesiąt dzieci — a można powiedzieć, że instytucya ta stała się i stoi darami całego społeczeństwa polskiego. Siedm tysięcy koron dała Rada Narodowa z Poznania, trzy tysiące magistrat miasta Krakowa, a co podnieść trzeba, to dzieci polskie hojne ofiary dają na sieroty — na przykład ze Spytkowic koło Zatora dzieci co miesiąc przesyłają ofiarę na „Dom sierót“ w Prądniku Białym, a parafia Zawada koło Dębicy złożyła hojny dar w g tówce i przysłała wagon ziemniaków.

„Dom sierót“ w Prądniku Białym może stanowić wzór tego rodzaju zakładów. Dzieci znajdują tam drugi dom rodzinny — ciepło ogniska domowego. Wymownem świadectwem był zachwyt gości z Danii, którzy w roku 1916 zwiedzali zakład. — Jednogłośnie wyrazili zdumienie, że w czasie wojny można było stworzyć taki wzorowy zakład wychowawczy. To też goście krakowscy, zaproszeni na przedstawienie „Jasełek“, które dwa razy odegrały sieroty — z żywą radością oglądali ten zakład i wyrażali swe uznanie dla kierowniczki „Domu sierót“ p. Maryi Breyerowej, która z całem poświęceniem i oddaniem się dla sierót prowadzi dom już rok drugi. W Domu znajduje się też kaplica domowa, gdzie za zezwoleniem władzy duchownej od czasu do czasu odprawia się msza św.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie illustrują życie wesołe i swobodny nastrój, jaki panuje wśród dziatwy „Domu sierocego“. *K.*



Przed nową ofenzywą koalicyi: Zdobyta pozycya rosyjska pod Rygą.

Przed nową ofenzywą koalicyi.

Od czasu wielkiej Rady wojennej w Rzymie, niemal co dnia słyszeć można, że koalicya nosi się znowu z daleko sięgającymi zamiarami, że układa wielką ofenzywę i że postanowiła już nieodwołalnie, raz nakoniec doprowadzić do tego stanowczego rozstrzygnięcia, które szalę zwycięstwa ostatecznego przechyli na jej stronę.

Że zamiary takie koalicya istotnie powzięła, niema powodu wątpić. Zresztą nie tają się z tem państwa koalicyi. Włoski generał Marazzi, zdobywca Gorycyi, jak go nazywają, snuje nawet plany tej ofenzywy w „Giornale d'Italia“. Żąda on mianowicie dla osiągnięcia pomyślnego rezultatu utworzenia dyktatury wojskowej nad całą koalicyą. W ten tylko sposób może ona zwyciężyć centralnych, liczebnie i mo-

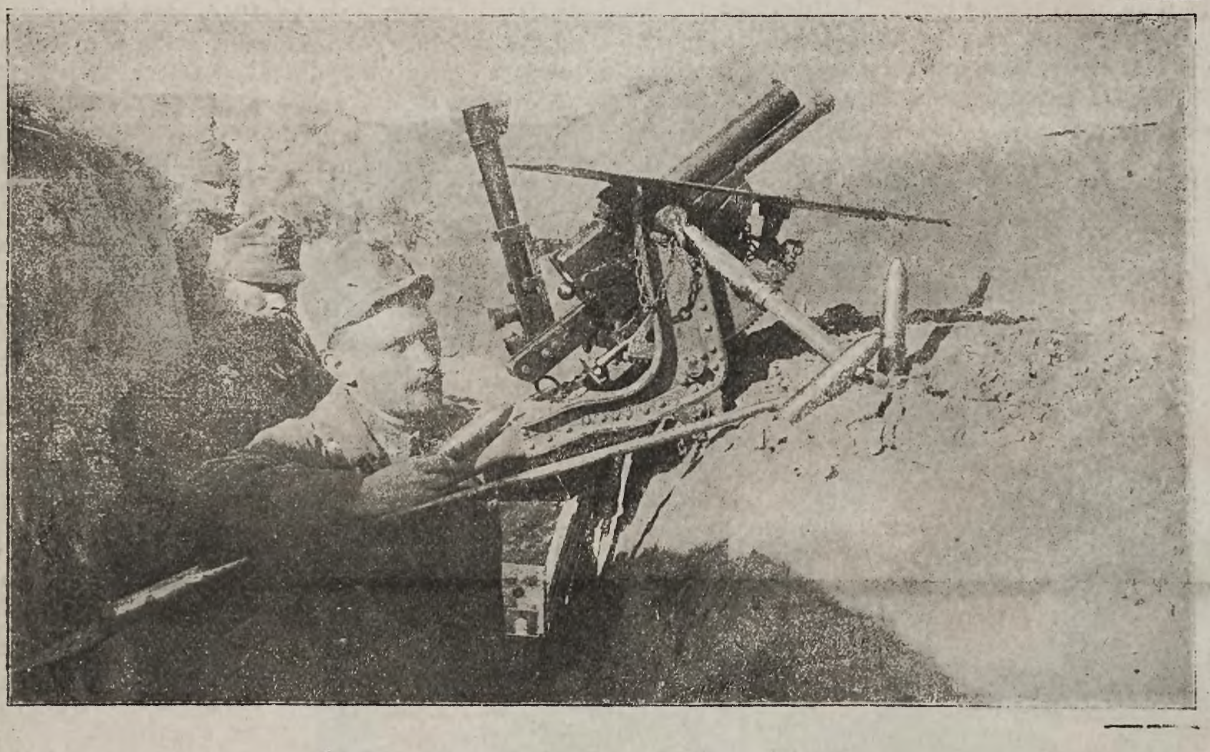




Opieka nad sierotami wojennemi:

Ołtarz w kaplicy „Domu sierót“ w Prądniku Białym

Dziatwa „Domu Sierót“ w Prądniku Białym z kapelanem ks. Kasprzykiem w pośrodku



Z życia „krakowskich dzieci“: Porucznik dr. Indra (16. p. p. obrony krajowej) przy pomocy peryskopu ostrzeliwuje z małej armatki pozycye nieprzyjacielskie.





Opieka nad sierotami wojennemi:
Najmniejsi wychowankowie „Domu sierót“ w Prądniku Białym z swą opiekunką p. Breyerową. Ćwiczenia gimnastyczne dziatwy „Domu sierót“ w Prądniku Białym.

ralnie słabszych, lecz wskutek organizacyi i dobrego kierownictwa przewyższających ententę. Na froncie zachodnim są Francuzi i Anglicy zanadto oddaleni od terytoryum niemieckiego i wskutek tego nie mogą do niego dotrzeć. Odnośnie do frontu wschodniego, to — jak uważa jenerał Marazzi — jeżeli Rosyanie nie mogą uwolnić Rumunii — półwysep bałkański uważać należy za stracony.

Niema też celu kontynuowanie kampanii salonickiej, wojska Sarraila przydałyby się raczej do akcyi przeciw Austryi, a wyczyn ich ułatwi flocie działanie na morzu Śródziemnem. Dla Włochów najważniejszem celem jest obrona Alp i intenzywna ofenzywa na Tryest. — Do tych działań potrzebną jest nowa ciężka artylerya, karabiny maszynowe i pancerne automobile, a przedewszystkiem wielu doświadczonych lotników i aeroplany. Prawe skrzydło włoskie mogłoby być w razie ofenzywy poparte przez flotę, która utoruje wojskom drogę na wybrzeża i opanuje zatokę tryesteńską. Do działań tych czas teraz nagli, gdyż w czasie wiosennych roztopów cały teren zamienia się w bagno.

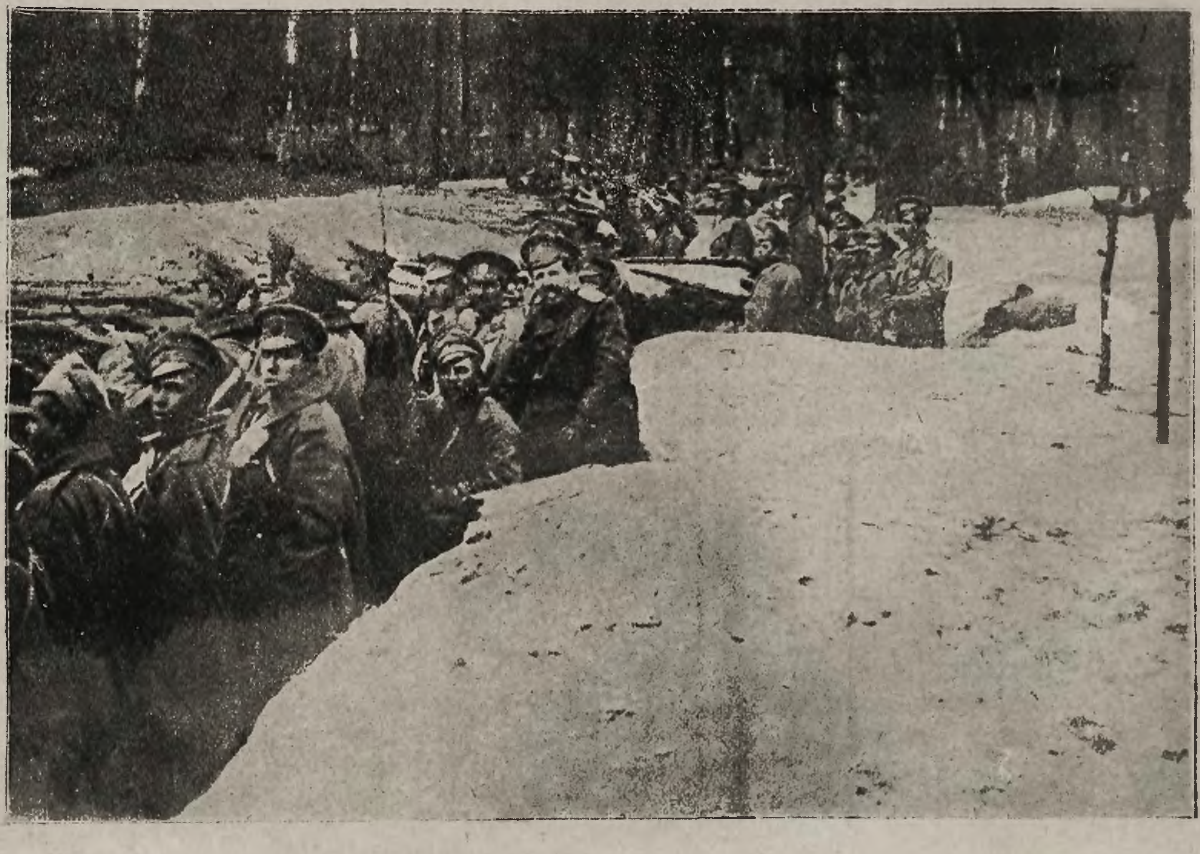
„Popolo d'Italia“, omawiając wywody jenerała Marazzi'ego, dodaje, że koalicya musi możliwie najszybciej wojnę ukończyć, bo gdy Rosya i Anglia mogą dalsze zmagania się przetrzymać, Włochy i Francya nie, gdyż pierwszym grozi krach finansowy, a druga nie posiada już zapasów w ludziach. Dlatego też koalicya musi w najbliższym czasie zwyciężyć, a stanie się to tylko przy pomocy ofenzywy.

Po notach pokojowych przychodzi więc zapowiedź nowej, jeszcze gwałtowniejszej, niż poprzednie, ofenzywy, którą Rosyanie próbowali już rozpocząć w Kurlandyi. — W złudnem mniemaniu iż niespodzianym wypadem, w tej, czy owej stronie, można przeciwnikowi zmącić szyki, Rosyanie urządzili dla ulżenia frontowi rumuńskiemu dywersyę na wprost przeciwległem skrzydle, pod Rygą. Skutek był ten tylko, że wprawdzie nie uległa najmniejszej zmianie sytuacya w Rumunii, nie zmiejszył się napór na Gałacz, ale za to nad rzeką Aa doznał nieprzyjaciel bolesnego pogromu, który wedle ostatnich doniesień urósł do rozmiarów wielkiej klęski.

O przebiegu nowej „ofenzywy“ rosyjskiej i smutnym dla Rosyan wyniku walk nad rzeką Aa, biuro Wolffa podaje następujące szczegóły:

„Chociaż atak niemiecki nie był niespodzianką dla dowództwa rosyjskiego, już dnia 23. stycznia w południe na obu skrzydłach frontu, położonego na wschód od rzeki Aa, odniesiono pomniejsze sukcesy. Popołudniu udało się w centrum posunąć się naprzód w sposób rozstrzygający, jakkolwiek wojska, idące do szturmu, po kolana grzęzły w bagnach Tirul. Już wieczorem 23. stycznia po obu stronach rzeki zdobyto około trzy kilometry. — W nocy na 24. stycznia skrzydło prawe na wschód od Aa zdołało zyskać jeszcze więcej na terenie. Gniazdo Rosyan, które znajdowało się w zagłębieniu, zniesiono, przyczem pojmano czterystu żołnierzy. Jeńcy zeznali, że dowódca tego oddziału rosyjskiego miał rozkaz cofnięcia się, ale go nie usłuchał. Gdy Rosyanie spostrzegli, że są osaczeni, zastrzelili swego dowódcę. Także na zachód od rzeki Aa wojska niemieckie dnia 24. stycznia znacznie posunęły się naprzód. Większa część terenu, pozostawionego Rosyanom z początkiem stycznia, znalazła się w ręku Niemców. Z zeznań jeńców okazuje się, jak wielkie były straty Rosyan. Z niektórych pułków, liczących po trzy tysiące żołnierzy, wróciło tylko po pięćset, reszta poległa, została zraniona lub dostała się do niewoli.“

Ten ostateczny wynik ofenzywy rosyjskiej w Kurlandyi powinien przekonać dowództwo rosyjskie i całą koalicyę, jak zawodnem jest ich mniemanie, iż sprzymierzeni, dla osiągnięcia zwycięstwa w jednym punkcie, muszą inne punkty ogołacać. W tem właśnie cała ich sztuka i jeden z głównych sekretów powodzenia państw centralnych, że w każdej chwili i wszędzie, na całym tak olbrzymim froncie, sprzymierzeńcy przygotowani są do odparcia wszelkich

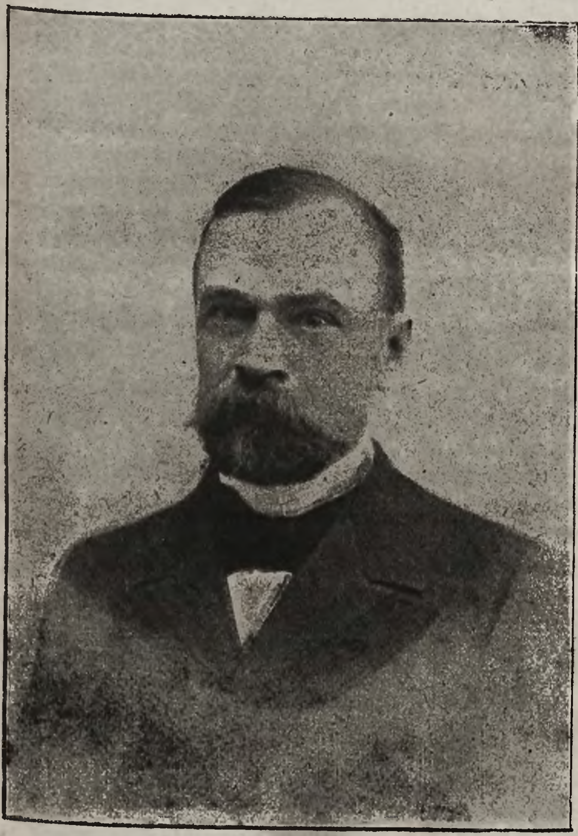


Przed nową ofenzywą koalicyi: Rosyjska piechota w Kurlandyi po odwrocie z pierwszej linii bojowej w oczekiwaniu na atak nieprzyjaciół.

zamachów, a tam, gdzie zdecydują się ująć inicyatywę w swe ręce, prowadzą dzieło do skutku bez oglądania się na resztę części frontu.

Warszawa w chwili przełomowej.

Doniosłe chwile przeżywa teraz stolica Polski — Warszawa. Tłumione tam przez długie lata niewoli



Warszawa w chwili przełomowej: Mecenas Adolf Suligowski, nowy prezes warszawskiej Rady miejskiej.

rosyjskiej życie polityczne wybuchło z żywiołową siłą, powodując niekiedy tarcia i nieporozumienia wśród licznych grup i kierunków myśli politycznej. Jest to zresztą objaw zupełnie zrozumiały i naturalny, który bynajmniej nie osłabił siły i spoistości społeczeństwa polskiego, okazującego zadziwiającą



Warszawa w chwili przełomowej: Rektor Józef Brudziński, który zrezygnował ze stanowiska prezesa warszawskiej Rady miejskiej.

wprost jednomyślność w dążeniu do zdobycia niepodległości. Te uboczne jednak nieporozumienia, dotyczące środków i sposobów postępowania w tej przełomowej dla narodu polskiego chwili, stały się już powodem licznych zmian na kierujących stanowiskach i skłoniły do rezygnacyi pierwszego prez sa warszawskiej R dy miejskiej, rektora Brudzińskiego. Zdobył on ogólne uznanie swem rozumnem i taktownem postępowaniem zarówno w pierwszym okresie działalności warszawskiej Rady miejskiej, która, jak wiadomo, jeszcze przed manifestem listopadowym złożyła historyczną deklaracyę niepodległościową, jak i w doniosłej chwili proklamowania niepodległej Polski. W trakcie jednak pertraktacyi przy tworzeniu R dy Stanu, prezes Brudziński postanowił odsunąć się od życia politycznego i poświęcić się jedynie — jako rektor Uniwersytetu — doniosłej pracy nad rozwojem tej polskiej placówki naukowej i kulturalnej. Zrezygnował też z godności nie tylko prezesa, ale i członka R dy miejskiej. Na jego miejsce jako radny wszedł znany działacz społeczny i narodowy, były poseł do Dumy, a obecnie dziekan Uniwersytetu, adwokat Alfons Parczewski, a odpowiedzialny posterunek prezesa Rady miejskiej objął znany prawnik i ekonomista, adwokat Adolf Suligowski. Warszawska Rada miejska zyskała w swym nowym prezesie pierwszorzędną siłę fachową, adwokat Suligowski bowiem jest nie tylko specyalistą teoretykiem w sprawach samorządu i gospodarki miejskiej, ale położył już olbrzymie zasługi w swej długoletniej, a prowadzonej w tak trudnych warunkach pracy społecznej w Warszawie. To też wybór tak wytrawnego i zasłużonego działacza na odpowiedzialne stanowisko prezesa samorządu stolicy Polski spotka się niewątpliwie z ogólnem uznaniem.



Z frontów bojowych Austryacki patrol oficerski na stromej ścianie alpejskiej.



Z życia „krakowskich dzieci" Msza polowa dla żołnierzy 16. p. p. obrony krajowej.



Z życia „krakowskich dzieci“: Dywizyoner obrony krajowej, jenerał Urbański (×), z oficerami drugiego batalionu 16. pułku piechoty.

Z życia „krakowskich dzieci“.

„Krakowskie dzieci“ zasługują na to, by niemi i ich losem zajmowało się polskie społeczeństwo, a zwłaszcza pismo, wychodzące w Krakowie, za którym oni tak tęsknią i dokąd jak najrychlej wrócićby pragnęli.

Niestety, Opatrzność inaczej widocznie postanowiła trzecia zima bowiem już się prawie kończy, a o końcu wojny jeszcze nie słychać, przeciwnie nawet, miejsce jaskółek pokojowych zajmują pogłoski o zaostrzeniu walk i nowych ofenzywach na wszystkich frontach.

Dotąd wspominaliśmy już kilkakrotnie na łamach naszego pisma, zwłaszcza w ostatnich tygodniach,



Z życia „krakowskich dzieci“: W oczekiwaniu na nieprzyjacielski atak gazowy.

o życiu naszych najbliższych na bojowym froncie, starając się przedstawić ich wojenną dolę i niedolę, ale tego wszystkiego zamało! — Za swą dzielność i męstwo, za swą brawurę i pogardę śmierci, z jaką krakowskie dzieci zmagają się z wrogiem, zasługują nasi dzielni Krakowiacy, wchodzący w skład szesnastego pułku piechoty obrony krajowej, na całe tomy pochwał i, jesteśmy pewni, znajdzie się po wojnie ktoś, kto się tem zajmie i skreśli ku wiecznej pamięci historyę tego pułku w czasie obecnej wojny światowej, jego przejścia i przewagi wojenne. Na razie jedynie *Nowości illustrowane* pamiętają o „krakowskich dzieciach“ i od czasu do czasu zamieszczają o nich wzmianki, by w ten sposób wytworzyć łączność pomiędzy tymi, którzy tam, w rowach strzeleckich bronią granic kraju, a tymi, którzy tu pozostali i serdecznie tęsknią za nimi.

Krakowiakom wiedzie się na bojowym froncie nie najgorzej. Rycerskie rzemiosło, choć inaczej dziś prowadzone, niż choćby pół wieku temu, gdy w grę jeszcze wchodziło w większej mierze, niż dzisiaj, męstwo osobiste, to dla każdego z nich chleb powszedni. Po dziadach i ojcach odziedziczyli rycerskiego ducha, z piersi matek wyssali miłość ojczyzny i pragnienie zobaczenia jej jak najrychlej wolną, nic też dziwnego, że i tam, na wschodnim froncie, wśród świstu kul, znoszą mężnie i z fantazyą trudy i niewygody żołnierskiego żywota i na każdym kroku zbierają pochwały i uznanie, nie tylko swoich, ale i od obcych.

Ile bitw przez ten czas stoczono, ile urządzono wycieczek, ile napadów odparto — gdyby się je wszystkie chciało wyliczyć i cały numer *Nowości illustrowanych* nie starczyłby na to.

W każdej chwili i na każdem stanowisku „krakowskie dziecko“ spisywało się zawsze dzielnie i stało się prawdziwym postrachem nieprzyjaciela.

Dodać należy, że wewnętrzne stosunki są w pułku wyśmienite, oficerowie i żołnierze tworzą jakby jedną rodzinę.

Z takich „dzieci“ Kraków może być dumnym, pozazdrościć ich może mu każde inne miasto, nic też dziwnego, że pamięta o nich i wspomina zawsze serdecznie, życząc jak najrychlejszego powrotu, jako zwycięzców, pod rodzinną strzechę.

Kiedy się to stanie, dziś przewidzieć jeszcze nie można, na razie niech *„Nowości illustrowane“*, przynosząc obrazki, odnoszące się do ich życia w polu, będą tym łącznikiem między nimi a Krakowem.



Z życia „krakowskich dzieci“: Kapelan wojskowy, ks. Proksch, przemawia przed mszą św. do żołnierzy.



Z życia „krakowskich dzieci“: Sztab 16. p. p. obrony kraj. ze swym komendantem, pułkownikiem Hohenauerem (×) przed kwaterą pułkową.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

14

Pan Ginory natychmiast wysłał Bernardeta pod wskazany adres i zanim przesłuchanie Karola Pradesa zakończone zostało, ajent powrócił z ramą.

Sprawa morderstwa pana Rovere została więc nakoniec wyjaśnioną.

Bernardet nie omieszkał opowiedzieć przebiegu jej żonie i córkom.

— Teraz, moje kochane — mówił — trzeba się będzie zabrać do czego innego... A jednakże...

— Co jednakże? — podchwyciła pani Bernardet.

— Jednakże — powtórzył ajent z westchnieniem — brakuje jednego wyjaśnienia. Kwestya prawna została zupełnie rozwiązaną, ale, gdybym był uczonym, zapytałbym się jeszcze: A kwestya nauki? Bo przecież na problem mój nie otrzymałem żadnej odpowiedzi... A ja czuję, że to nie jest koniec jeszcze. Oh! Nie, nie!

Przy medycznem badaniu ciała nieszczęśliwego Rovera Bernardet zauważył był młodego lekarza, asystenta profesora Morin. Intuicyjnie Bernardet odgadł w nim naturę wyższą, trochę tajemniczą i marzycielską. Dowiedział się, gdzie mieszka i jednego dnia śmiało zadzwonił do mieszkania doktora Erwina, znajdującego się przy bulwarze Saint-Germain.

Przeczuwał, że ten człowiek nie pozostawi go bez odpowiedzi i nie wyśmieje, tak jak inni.

Bernardet, wchodząc do doktora, był w stanie silnego rozgorączkowania i podniecenia.

— To niemożliwe, żebym się mylił — myślał uparcie. — Oko zmarłego nie mogło mnie oszukać. Jestem pewny, że doktor Erwin poprze moje przypuszczenia.

Doktor wysłuchał go uważnie, nie przerywając. W dużych jego melancholijnych oczach ajent wyczytał zainteresowanie się jego sprawą.

Nakoniec Bernardet, blady ze wzruszenia, zapytał, jakim sposobem obraz Jerzego Montin pozostał odbity w źrenicy zmarłego, skoro zabójcą jego jest Prades?

— Klisze moje najwyraźniej wskazują całą postawę i rysy twarzy Montina. Doszedłem do przekonania, że umierający, w ostatniej chwili agonii musiał spojrzenie swoje zwrócić na portret przyjaciela. Ale, czy to jest możliwe, panie doktorze, czy to jest możliwe, aby oko zmarłego przejęło odbicie martwego obrazu?

— Dowodem najlepszym — odparł doktor Erwin — że pan tę odbitkę znalazł w oku pana Rovere.

— A więc ja się nie pomyliłem, panie doktorze, naprawdę nie pomyliłem?

— Nie!

— To nie do uwierzenia — zawołał Bernardet. — Ależ to był tylko obraz! Obraz martwy, nic więcej!

— I cóż z tego? — odparł doktor. — Wie pan, jak się to stało? Otóż ten nieszczęśliwy, umierając, zwrócił się z całą intensywnością ostatnich sił umysłowych i fizycznych do tego, który był przyjacielem jego najserdeczniejszym, błagając go o ratunek lub też wyrażając jakąś prośbę. W chwilach niebezpiecznych i ciężkich zwracamy się zawsze myślą do istot najbliżej nas stojących.

— Więc to jest możebne?! To jest możebne? — powtarzał jak we śnie Bernardet.

— Wierzę w to — rzekł doktor Erwin. — Czyż sam ten fakt nie tłumaczy jasno? Człowiek umiera i opanowany jest tylko myślą jedną. Chce gorąco porozumieć się jeszcze z tym, który po śmierci jego znać będzie wszystkie jego najskrytsze tajemnice. Chwyta jego obraz, czepia się go ostatkiem władz nerwowych, mówi do niego, przenika spojrzeniem, chce wykrzyczeć ostatnią swoją wolę, narzucić mu ostatnie myśli i pragnienia... W takiej chwili energia człowieka powiększa się stokrotnie. Jakaś olbrzymia intenzywność życia wybucha z jego istoty i koncentruje się z całą potęgą w spojrzeniu. Widziałem to u ludzi chorych i konających już. Ze spojrzenia takiego promieniuje magiczna siła jakaś, fluid elektryczny, wchłaniający w siebie widziane przedmioty.

— Sądziłem, że coś podobnego stać się może — wyrzekł Bernardet, chcąc się jeszcze upewnić w swojem przypuszczeniu — jeżeli chodzi o istoty żywe, stojące przed wzrokiem umierającego. Ale obraz... malowidło...

— Nie mówię panu: „To się stać może“, bo klisze pana same dają panu odpowiedź twierdzącą. W tych kliszach odnajduje pan obraz człowieka! Więc próba się udała! O co panu więcej chodzi?

— Doktorze! — odparł po chwili milczenia Bernardet. — Sam wierzę, bo widziałem. Ale kiedy będę chciał się podzielić tą wiadomością z innymi, wyśmieją mnie, krzyczeć zaczną, że to rzecz nie możliwa!

Doktor Erwin uśmiechnął się.

— Słowo „niemożliwe“ — odparł — powinno być wyrzucone z mowy ludzkiej. Doszliśmy już do tego, że nie czy, uważane niegdyś za niezbadane, jasne są dziś dla naszego umysłu. Taj mnica daje się podchwycić. Nie należy niczemu bezwarunkowo zaprzeczać bo wszystko jest możliwe. Co dziś widzimy, objawiające nam się w mglistych i niejasnych zarysach, jutro stać się może prawdą niezbitą. Żyjemy obecnie w wieku cudów i odkryć nadzwyczajnych. Ale, żeby te cuda tworzyły się, trzeba mieć wiarę, tę pierwotną, naiwną wiarę dawną i wierzyć, zawsze wierzyć a nie wątpić nigdy!...

Długo jeszcze trwała rozmowa Bernardeta z doktorem. Kiedy nareszcie wyszedł od niego, twarz jego jaśniała pewnością siebie i wielkiem zadowoleniem.

— — — — — — — — — — — — — — —

Od chwili odzyskania wolności, Jerzy Montin chodził często na cmentarz Montmartre i składał kwiaty na grobie przyjaciela. Stało się to nawet dla niego pewnem przyzwyczajeniem i potrzebą. Umarli żyją jeszcze... Słyszą nas i oczekują. I teraz zdawało się Jerzemu Montin, że odnalazł cel życia. Ale, niestety, ostatnie życzenie zmarłego, jego przedśmiertna wola, nie zostanie nigdy wypełnioną! Majątek, który Rovere przeznaczał dziecku, którego nie miał prawa nazwać przed ludźmi swojem, przejść musiał na rzecz dalekich krewnych, których nie znał prawie.

Montin zastanawiał się często nad tą smutną rzeczywistością.

— Powinnieniem był — myślał — nie czekać, aż sam wyjawi mi swoją wolę i nakłonić go do wręczenia mi tych pieniędzy, należących się jego córce. Cóż się teraz stanie z tą biedną dziewczyną, dla której jawną była tajemnica jej urodzenia. Czyż będzie nadal zmuszoną poświęcać młodość swoją niedołężnemu starcowi, który jej nie mógł zapewnić żadnej opieki?

Jednego dnia Montin, poruszony wspomnieniami całej tej smutnej przeszłości przyjaciela, uczuł nagłą potrzebę znalezienia się w bliskości jego i udał się na cmentarz. Idąc ulicami, przypomniał sobie dzień pogrzebu Rovera, ten tłum ciekawy, cisnący się za trumną, kwiaty sypane obojętnemi rękami, zainteresowanie dziennikarzy i reporterów.

Teraz cisza i osamotnienie ciężkie przygniatało ten grób zapomniany. Kiedy Montin znalazł się już na cmentarzu, smutek, wlokący się po opustoszałych ścieżkach przygnębił go jeszcze silniej. Gdzieniegdzie tylko rzadkie, ciemne cienie pojawiały się pomiędzy grobami lub na zakręcie ścieżek. Nie był to dzień tłumnych odwiedzin umarłych. Była to chwila, wybrana przez tych, którzy kochali ich jeszcze, do cichej rozmowy i wynurzeń serdecznych. Samotność ta odpowiadała nastrojowi duszy Montina. Czuł się bliższym tego, którego w tak tragiczny sposób niespodziewanie utracił.

„Ludwik Piotr Rovere“. Też wspomnień mieściło się w tem nazwisku, wyrażonem za przyczyną pani Monche na dużej płycie kamiennej! Mieściło ono młodość ich wspólną i długą, pełną różnorodnych wydarzeń przeszłość. Ileż lat uciekło szybko, nie pozostawiając nic godnego uwagi. Zmarnowane lata, gorączkowe pomysły, walki i rozczarowania! Oto był cały ich dorobek życiowy!

— On chociaż spoczął — myślał z goryczą Montin. — Ale ja! Przedemną lata może, bez celu, szczęścia i spokoju! I nikogo, nawet w chwili ostatniej mieć przy sobie nie będę. Ani przyjaciela, ani rodziny. Gdyby mi on chociaż był pozostał!

Porozmawiawszy długą chwilę z przyjacielem, Montin oddalił się powolnym krokiem od grobu. Na końcu alei odwrócił się raz jeszcze, by objąć spojrzeniem miejsce, gdzie spoczywał Rovere i spostrzegł nadchodzącą ze strony przeciwnej kobietę w żałobie. Posuwała się powolnym krokiem, pomiędzy szarymi nagrobkami, jak cień. Kobieta stanęła przy grobie Rovera. Wówczas Montin przystanął również, zaciekawiony, obserwując ją bacznie. Wysoka była i smukła, czarny welon szczelnie twarz jej zasłaniał.

— To jego córka — pomyślał Jerzy Montin.

Wspomnienie ostatniego wyznania zmarłego przyjaciela żywo zajaśniało w jego umyśle. Ujrzał go z błędnem spojrzeniem, przerzucającego nerwowo rozłożone papiery, które stanowić miały majątek jego dziecka. Jeżeli ta kobieta, stojąca tam, nad grobem, była tą o której myślał, zmarły mógł mieć tylko myśl jedną: Przez niego, Montina, zapewnić przyszłość tej drogiej istoty. Jerzy Montin powrócił więc wolno i stanął niedaleko grobu. Kobieta w żałobie klęczała teraz na dużym, szarym kamieniu. Montin nie mógł dobrze dojrzeć jej twarzy, pochylonej nad wiązanką przepyszuych chryzantem. Widział tylko jej ramiona, opadające, jak gdyby pod jakimś wielkim ciężarem i grube fałdy żałobnej sukni. Kobieta modliła się. Montin patrzał na nią długo ze współczuciem, a kiedy wyprostowała się i stanęła w całej okazałości smukłej postawy, podszedł spiesznie.

Szmer kroków na piasku zwrócił jej uwagę. Odwróciła się i Montin ujrzał piękną, młodą twarz, na której przebijał się smutek głęboki, jasne obfite włosy i duże oczy, w których ze wzruszeniem Montin odnalazł wyraz spojrzenia Rovera.

Młoda kobieta instynktownie uczyniła kilka kroków, żeby się oddalić i ustąpić miejsca nadchodzącemu, ale Jerzy zatrzymał ją ruchem ręki.

— Niech się pani nie obawia — wyrzekł łagodnie. — Jestem najlepszym przyjacielem tego, który tu spoczywa.

Przystanęła nagle onieśmielona.

— Wiem, jak bardzo pani go kochała — dodał Montin.

Młoda kobieta zbladła silnie i lekki okrzyk lęku wydarł się z jej piersi.

— Niech się pani uspokoi, proszę — błagał Montin, nie śmiejąc się przybliżyć. — Nic pani złego nie grozi. On mi wszystko powiedział. Jestem Jerzy Montin. On musiał pani wspomnieć o mnie...

— Tak — odpowiedziała głębokim głosem młoda kobieta — Tak... wspominał o panu...

Montin zadrżał. Był to niski melodyjny głos Rovera. I nagle w tej ciszy cmentarnej, otaczającej go zewsząd, obok grobu przyjaciela, który jak gdyby żywy stał pomiędzy nimi, Montin doznał pragnienia wyjawić młodej dziewczynie to, co Rovere tak gorąco życzył sobie dla niej uczynić. Jakaś łączność istniała pomiędzy nimi, chociaż widzieli się po raz pierwszy dopiero. Wystarczyło jedno słowo, jedno imię, aby tajemnica, łącząca ich, zacieśniła węzeł sympatyi obopólnej i zbliżyła ich do siebie.

Więc tak, jak gdyby z głębi swojego grobu Rovere nakazał im mówić. Jerzy Montin, pod wrażeniem głębokiego nastroju chwili, zapragnął podzielić się z młodą dziewczyną zwierzeniem, odebranem w chwili ostatniej od Rovera.

Z zaciśniętego wzruszeniem jego gardła wybiegły szybkie słowa: „zapis... ostatnia wola... majątek.

Ale żywo, odgadując wszystko, młoda dziewczyna przerwała dumnym ruchem ręki.

— Nie chcę o niczem wiedzieć, panie Montin — rzekła poważnie. — Nie chcę wiedzieć, co panu mówiono o mnie. Jestem córką człowieka, który obecnie oczekuje mnie w Blois. Stary on jest i niedołężny, kocha mnie bardzo i potrzebuje mojej obecności i opieki. Czy pan to rozumie, panie Montin? Ja dla siebie nic nie potrzebuję!

W głosie jej brzmiała energia i stanowczość i Montin raz jeszcze musiał zauważyć, jak bardzo podobną we wszystkiem jest do Rovera. Gdyby nawet cała ta przeszłość bolesna była mu nieznaną, Montin z postawy dumnej i wyniosłej, z błysku ciemnych oczu i twardobrzmiącego głosu byłby odgadł, że te dwie istoty nie mogły być sobie całkiem obce.

— A więc — odpowiedziała młoda dziewczyna — jeżeli mnie pan kiedy jeszcze spotka przy tym grobie, niech się pan z żadnem słowem do mnie nie zwraca. Poza obrębem tego cmentarza również nie znaną dla pana pozostać muszę. Tajemnica, którą odkrył panu ten, co tu leży — należy również do świętej kobiety, która jest moją matką i do człowieka, którego z całej duszy poważam — do mojego ojca żyjącego jeszcze!

Z jakimś dziwnie serdecznym naciskiem wymówiła te słowa ostatnie i Montin zauważył że w ciemnych jej oczach zabłysły łzy rozrzewnienia.

— A teraz, panie Montin — dodała — żegnam pana!

Jerzy doznał przykrego uczucia. Tak pragnął z nią jeszcze pomówić o zmarłym.

— Droga pani! — zaczął.

— Żegnam pana — przerwała młoda dziewczyna.

Uklękła na chwilę przy grobie i nie patrząc już na Jerzego, oddaliła się spiesznie. Montin dokąd mógł, śledził ją wzrokiem, a kiedy ciemna jej sylwetka znikła już zupełnie za pomnikami cmentarza, poczuł się dziwnie smutny i rozżalony.

Ożarnęło go gorące współczucie dla tej cichej, zrezygnowanej dziewczyny, idącej dalej wytkniętą drogą obowiązku i poświęcenia, gotowej oddać młodość całą na usługi dwojga ludzi, którzy jej w zamian dać nie mogli nawet zabezpieczenia materyalnego na dalsze lata.

Ona jedna, pośród tych dwojga ludzi, którym zawdzięczała ciężkie swoje i nienaturalne położenie, będzie prawdziwą ofiarą, odpowiadającą za cudze winy

Młodość jej przeminie bez szczęścia i wesela, w małych pokoikach skromnego mieszkania w Blois, opłaci nią błąd, przez matkę popełniony, osładzając czułą opieką swoją resztę lat życia staremu człowiekowi, który był dla niej ojcem tylko z imienia.

— Kto wie jednak — myślał Montin, zatapiając się w tych rozmyślaniach — może ona naprawdę szczęśliwą być może. Dumna jej i energiczna natura łaknie dobrowolnie tego poświęcenia, które może jej życie całe wypełnić.

Montin wkrótce wyszedł z cmentarza i powolnym krokiem skierował się do miasta. Głowę miał dziwnie ciężką i obolałą. Nawał myśli smutnych i poważnych rozsadzał mu czaszkę.

Kiedy skręcał w ulicę Richelieu, podążając do swojego mieszkania, natknął się niespodzianie na Bernardeta. Agent uchylił grzecznie kapelusza i przystanął. Na twarzy jego dobrodusznej i okrągłej malował się żal i zawstydzenie.

— Ah! Panie Montin! — zawołał. — Zasłużyłem sobie wobec pana na ciężkie wyrzuty!

— Wcale nie, panie Bernardet — odparł Jerzy. — Poczucie obowiązku kierowało panem i naprawdę cieszę się bardzo, że pan tak gorliwie przystąpił do pomszczenia mojego biednego przyjaciela.

— Oh, tak! — zawołał Bernardet energicznie. — Pan Rovere zostanie pomszczonym. Jutro mają sądzić Karola Pradesa i nie dałbym pięciu centimów za jego nędzną głowę. Zobaczymy się w sądzie, nieprawdaż, panie Montin. Ale teraz niech mi pan poda rękę na znak, że nie czuje pan żadnego żalu do mnie.

Montin z życzliwym uśmiechem uczynił zadość jego prośbie.

Bernardet z lżejszem sercem powracał do domu. Na rogu jednej z ulic zaintrygowało go małe zbiegowisko. Przechodnie cisnęli się niecierpliwie do chłopca, roznoszącego gazety i wołającego krzykliwym, zachrypniętym głosem:

— Kupujcie „Iskrę"! Senzacyjny artykuł o procesie Pradesa, mordercy byłego konsula! Nadzwyczajne wydanie!

Bernardet podszedł bliżej i skinął na chłopaka.

— Daj mi jeden numer — rzekł.

Chłopak podał mu dziennik, uśmiechając się chytrze.

— Ah, rozumiem, że to może pana interesować, panie Bernardet — zawołał. — To przecież sprawa, którą się pan zajmował! Cały Paryż o panu mówi!

Bernardet otworzył dziennik i spojrzenie jego padło na artykuł, zatytułowany w następujący sposób: „Oko zmarłego!" „Najciekawsze odkrycie naukowe!" „Tajemnicze oskarżenie!".

Bernardet ze zdziwieniem przejrzał artykuł... W miarę czytania, twarz jego przybierała zadowolony i poważny wyraz.

— A przecież miałem słuszność — szepnął po chwili, głęboko zamyślony. — Dzienniki zaczynają się interesować moim problemem. Panowie uczeni raczyli zwrócić uwagę i twierdzą już, że ta niezbadana dotąd tajemnica stanie się jasną dla wszystkich. Jakież to ułatwienie będzie dla sędziów na przyszłość. Policyjne śledztwo nie będzie miało już tej wagi, bo oczy zmarłych same oskarżać będą i potępią mordercę. Muszę ten artykuł przeczytać starej i dziewczynom. To będzie dla nich prawdziwie interesująca rozrywka.

I Bernardet, pogwizdując wesoło, przyspieszył kroku, aby nie spóźnić się na obiad i nie narazić na gniew pani Bernardet.

KONIEC

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

1

I.

Na ratuszowym zegarze w Sidney, małem miasteczku Pensylwanii, wybiła godzina dwunasta.

Jerzy Evans, pierwszy prezydent i pan Ferris, prokurator R publiki, stojąc na obszernym peronie Pałacu Sprawiedliwości, rozmawiali z ożywieniem z towarzyszącymi im adwokatami.

Mówili na temat niezręczności niektórych zbrodniarzy i nieprzezorności ich w odpowiedziach w czasie badania sądowego.

— Pomyśleć by można, że to robią rozmyślnie — rzekł pan Evans. — I nie domyślają się nawet, jak ułatwiają nam zadanie. Rzadko bardzo spotkać można u nas jednego z tych artystów zbrodniarzy, którzy bezkarnie grasują, a przy śledztwie z zadziwiającą zuchwałością udowadniają swoją niewinność.

— Przypuszczam, że zależy wiele w tym razie od intelligencyi zbrodniarza — odparł prokurator. — U nas najczęściej rekrutują się oni z najniższych warstw społecznych. Wówczas dopiero sprawa staje się dla nas interesującą i trudną do przeprowadzenia, kiedy mamy przed sobą człowieka o wyższej kulturze umysłowej, zręcznego i dowcipnego, gotowego bronić się słowem do ostatniej chwili. Nasz typ zwyczajny mordercy, to człowiek brutalny, tępy i dziki, ot, taki właśnie, co tam teraz przechodzi ulicą. Niech panowie spojrzą na tą twarz zbydlęconą: niskie, kwadratowe czoło i małe, wsunięte oczy. To nasz typ!

Mówiąc to, pan Ferris wskazywał ręką człowieka o podejrzanym wyglądzie, przesuwającego się wolno wzdłuż murów domów i skręcającego w wązką uliczkę.

— Ci ludzie nie znoszą wzroku ludzkiego — dodał jeszcze pan Ferris. — Chociaż na razie niewinni, czują się nim zmieszani i zaniepokojeni. Oh! Patrzcie panowie, jak przyspiesza kroku, bo widzi, że się nim za mujemy.

— Nie wygląda na człowieka o spokojnem sumieniu — rzekł pan Evans.

— To zwykły los włóczęgów! Wieczny lęk i obawa! Ten prawdopodobnie musiał słyszeć o dzisiejszem zasądzeniu i woli unikać niepotrzebnych spotkań. Nie zazdroszczę życia, jakie wieść muszą złodzieje i mordercy. Większa połowa upływa im w więzieniu, a ileż razy własną głową za czyn swój odpokutować muszą! W moim zawodzie, przyznać muszę, nie spotkałem jeszcze sprawy, w którejby winowajca mógł ujść bezkarnie. Panowie, mordercy znani są ze swojej niezręczności i wcześniej, czy później pochwycić się zawsze dadzą. Nie umieją oni zacierać śladów za sobą.

— Przebiegły zbrodniarz nie pozostawi żadnych śladów za sobą — rozległ się nagle szorstki głos za rozmawiającymi.

Wszyscy się odwrócili, zaciekawieni tem niespodziewanem wystąpieniem.

Mały, garbaty człowiek stał o kilka kroków, niedbale oparty o kamienny słup domu.

— Mówi pan — rzekł, utkwiwszy bystre spojrzenie w prokuratora — że niezręczni zbrodniarze zdradzają się zawsze. A wie pan, dlaczego? Bo posługują się banalnymi i zwykłymi środkami, chcąc zataić swoją winę. A jedynym środkiem, zapewniającym zbrodniarzowi bezkarność zupełną, jest posłużenie się narzędziem, znalezionem na samem miejscu zbrodni i dokonanie tej zbrodni w miejscu otwartem, uczęszczanem, ludnem, gdzie śladów może być tak wiele, iż policya zna duje się w kłopocie, za którym wpierw pospieszyć. Oto, weźmy jako przykład ten mały, biały domek, który stąd dobrze widzieć możemy. Odkąd stoimy na tem miejscu, kilka osób przeszło tamtędy, jedna z nich nawet miała wygląd nie budzący zaufania. Osoby te weszły przez ogródek i okrążyły dom, zapewne udając się do kuchni. Nie wiem, kto mieszka w tym domu, ale przypuśćmy naprzykład, że jedyną lokatorką jest stara kobieta, bez rodziny i służby. Może jej ktoś za godzinę nie znaleźć w mieszkaniu i szukać... mówię to abstrakcyjnie w otworze pieca chlebowego. I znajduje ją, przypuśćmy, zamordowaną uderzeniem ciężkiego pogrze bacza... Na kogóżby padło pierwsze podejrzenie? Naturalnie na tego włóczęgę o podejrzanym wyglądzie.

— Podejrzenie nie jest jeszcze dowodem — przerwał pan Evans. — Gdyby włóczęga bronił się, przysięgał, tłumaczył, że wszedł tam tylko w celu użebrania czegokolwiek, wątpię bardzo, czyby się znalazł sędzia, któryby go zasądził na podstawie tego jedynego faktu.

— Zapewne — zauważył pan Ferris — ale tamte osoby, widziane koło tego domku, musiałyby wówczas wszystkie być znane z jak najlepszej opinii i przysiądz, że widziały starą kobietę w najlepszem zdrowiu w czasie ich odwiedzin.

Garbus, nie odpowiedziawszy już nic na tą uwagę, oddalił się wolnym krokiem.

— Co pan o tem myśli, panie Byrd? — zapytał prokurator, zwracając się do młodego człowieka, który stał obok niego. — Przecież pan jest fachowcem w tych sprawach. Czy posądziłby pan włóczęgę w takim wypadku?

— Waham się z wypowiedzeniem swego zdania — odparł zapytany. — W faktach, o których mówimy, spotykamy często tak nieprawdopodobne komplikacye i niespodzianki, że nigdy bez poważnego zbadania sprawy i towarzyszących jej okoliczności, wydać swojego absolutnego orzeczenia nie można.

— Już czas na śniadanie — przerwał adwokat Ormond, patrząc na zegarek. — Moja gospodyni, pani Clemmens, będzie się niecierpliwić. Do widzenia moi panowie, zobaczymy się wkrótce.

Pan Ormond, pożegnawszy przyjaciół, przeszedł na drugą stronę ulicy, kierując się w stronę białego domku, o którym przed chwilą mówił nieznany, garbaty człowiek.

— Ten Ormond staje się młodszym z dniem każdym — zauważył z uśmiechem pan Ferris. — Ma lat przeszło czterdzieści, a wygląda na zupełnie młodego człowieka. Ale cóż to się tam stało? Zdaje mi się, że Ormond nas woła...

Wszyscy skierowali spojrzenia w kierunku białego domku, do którego wszedł był adwokat i z którego wybiegł natychmiast, zdradzając żywe zmieszanie i zaniepokojenie. Energicznym ruchem ręki przyzywał przyjaciół i mówił coś, czego zrozumieć nie mogli.

Adwokat Lord, prokurator i detektyw Byrd pospieszyli natychmiast ku niemu.

— Morderstwo! Morderstwo! — krzyknął zdaleka Ormond. — Pani Clemmens została zabita! Znalazłem ją nieżywą w sali jadalnej, z roztrzaskaną głową!

— Co za ciekawy zbieg okoliczności! — szepnął Byrd.

Adwokat Lord i pan Ferris zamienili ze sobą spojrzenia, pełne zdumienia i zgrozy i pobiegli naprzód.

— Poczekajcie panowie — zawołał nagle prokurator przystając. — Gdzie podział się ten garbus, który tak stanowczo twierdził, że tylko głupcy umieją się zdradzać? Panie Byrd zechciej pan powiedzieć ajentom, którzy znajdują się jeszcze na służbie, żeby go natychmiast odnaleźli i przytrzymali. Nie wierzę w niewinny zbieg okoliczności. Ten garbus musiał już coś wiedzieć.

Detektyw pobiegł żywo wypełnić rozkaz prokuratora, który pospieszył połączyć się z towarzyszami, wchodzącymi już do białego domku.

W saloniku, do którego weszli, panował porządek zupełny. Na jednym ze stołków leżał tylko kapelusz adwokata Ormond. Wygląd pokoju zadziwił cokolwiek prokuratora. Widniała w nim pewna wytworność, a nawet zbytek. Pani Clemmens zaś, wdowa, bez rodziny, uchodziła za osobę niezbyt majętną.

Adwokat Ormond szedł naprzód. Otworzył drzwi, wiodące do sali jadalnej, mówiąc zdenerwowanym głosem:

— To tutaj!...

Po drugiej stronie niewielkiego stołu obecni spostrzegli panią Clemmens, rozciągniętą na dywanie, z twarzą, zwróconą do podłogi. Krew żywym strumieniem płynęła z rany, otwartej na tyle głowy. W lewej ręce trzymała mały, srebrny zegarek, obok niej zaś leżało duże polano drzewa, którem zapewne posłużył się morderca przy zamordowaniu swojej ofiary.

— Straszne! Okropne! — zawołał pan Lord, cofając się ze zgrozą. — W jakim celu zamordowano tę nieszczęśliwą kobietę?

— Przyzna pan jednak, że jest tu jakiś dziwny zbieg okoliczności — rzekł prokurator. — Przed chwilą usłyszeliśmy z ust tego nieznajomego garbusa teoryę, która nagle zamienia się w rzeczywistość. To, doprawdy, przestaje być banalne! Jestem wprost zdumiony, zaskoczony tym faktem!

Mówiąc to, pan Ferris otworzył drzwi szklane, wiodące na ogród.

— Te drzwi nie były na klucz zamknięte — zauważył pan Lord, zwracając się do pana Ormond.

Adwokat podniósł nagle głowę. Nie wymówił dotąd słowa, wzruszony i przybity nagłą śmiercią swojej gospodyni, do której codziennie chodził na śniadanie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z tygodnia.

Cesarz Wilhelm do Rady Stanu.

Jak donosi c. k. Biuro korespondencyjne z Warszawy, na telegram z życzeniami Rady Stanu do cesarza niemieckiego nadeszła następująca odpowiedź cesarza:

„Tymczasowej Radzie Stanu dziękuję wielokrotnie za przyjazne życzenia pomyślności w dniu moich urodzin. Dowiedziałem się z nich z zadowoleniem o podziękowaniu za zapowiedziane wspólnie z Mym wzniosłym sprzymierzeńcem przywrócenie Królestwa Polskiego.

W pełnej odpowiedzialności pracy tymczasowej Rady Stanu życzę pełnego powodzenia“.

Warszawa Wilsonowi.

Jak donosi Biuro korespondencyjne z Warszawy, Rada Stanu wystosowała do prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona następujący telegram:

„Powołana na podstawie aktu z 5 listopada 1916 roku, którym monarchowie Niemiec i Austro-Węgier uroczyście zapowiedzieli powstanie państwa polskiego, tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego z radością przyjęła do wiadomości notę pańską. Szanowny Panie Prezydencie.

W tej wojnie po raz pierwszy głowa potężnego państwa neutralnego, a równocześnie najwyższy przedstawiciel wielkiego narodu urzędowo ogłosił, że wedle jego przekonania niezawisłość państwa polskiego jest jedynem sprawiedliwem rozwiązaniem kwestyi polskiej i nieodzownym warunkiem trwałego i sprawiedliwego pokoju.

Za to mądre i szlachetne zrozumienie praw narodu polskiego tymczasowa Rada Stanu, jako zarodek rządu tworzącego się państwa, składa Szanownemu Panu, Panie Prezydencie, w imieniu swojem i w imieniu narodu polskiego swoje najgłębsze podziękowanie i hołd.“

Niezależnie od powyższego telegramu Rady Stanu Warszawa złożyła hołd Wilsonowi urządzonemi na jego cześć manifestacyami. Młodzież akademicka, zebrana na wiecu w dniu 24. zeszłego miesiąca, uchwaliła stosowną rezolucyę, poczem postanowiła udać się w pochodzie manifestacyjnym przed gmach konsulatu amerykańskiego, w celu wyrażenia swych uczuć radosnych. W pochodzie tym uczestniczyło około dwóch tysięcy młodzieży akademickiej z Uniwersytetu, Politechniki, oraz wyższych szkół handlowych i rolniczych. Przed konsulatem wznoszono okrzyki na cześć Wilsona, Stanów Zjednoczonych i Polski.

Nazajutrz o godzinie jedenastej przed południem prezydyum wiecu, w osobach studentów p. p. Józefa Moczulskiego, Stefana Lenartowicza i Stanisława Czosnowskiego, wręczyło powyższą uchwałę generalnemu konsulowi amerykańskiemu. P. konsul przyjął delegacyę bardzo serdecznie i podziękował za okazane przez młodzież uczucia, wyrażone w manifestacyi. Następnie konsul wyraził gotowość rewizytowania osobiście trzech delegatów, lub zrzeszenia naczelnego młodzieży akademickiej na Uniwersytecie, jakiem jest „Bratnia pomoc“. Delegacya oświadczyła wtedy, że będzie oczekiwać go w „Bratniej Pomocy“.

W godzinę po wizycie młodzieży, konsulat amerykański w pełnym składzie rewizytował delegatów w „Bratniej pomocy“, dokąd przybyli: konsul generalny Stanów Zjednoczonych p. Hernandez de Soto, oraz wicekonsulowie Arthur E. I. Reilly i Mr. Witold Fuchs.

W „Bratniej pomocy“ stud. Bułakowski powitał ich następującą przemową w języku angielskim:

„Wielki to zaszczyt i przyjemność dla studentów Uniwersytetu warszawskiego, przyjąć tu Panów i oznajmić im, jak jesteśmy szczęśliwi, że prezydent Stanów Zjednoczonych uznał konieczność odbudowania Polski wolnej i niepodległej. Wyrażamy niniejszem nasz podziw i wdzięczność dla wielkiego i szlachetnego narodu amerykańskiego i jego prezydenta. Niech żyją Stany Zjednoczone! Niech żyje Wilson!“

Okrzyk ten powtórzyli obecni studenci. Konsul w długiej odpowiedzi, między innemi wyrzekł:

„Oznajmiam panom, iż przybyłem do Uniwersytetu, by osobiście podziękować za wspaniałą owacyę i wyrazić żal, że wczoraj nie mogłem sam być obecny i przyjąć waszej manifestacyi. Dziękuję panom za adres do Prezydenta i obiecuję wysłać go przez ambasadę w Berlinie do Waszyngtonu. Jestem przekonany, że zarówno ambasada, jak i prezydent Wilson przyjmie panów oświadczenie tak, jak i ja sam. Również podzielam przekonanie pana prezydenta, że Polska musi być wolna i niepodległa i musi otrzymać możność samodzielnego rozwoju. Raz jeszcze dziękuję wszystkim obecnym za manifestacyę i przyjęcie. Niech żyje Polska!“ Obecni z zapałem powtórzyli okrzyk.

Goście amerykańscy zabawili w „Bratniej pomocy“ czas dłuższy, poczem, żegnani grzmiącymi okrzykami na cześć Stanów Zjednoczonych, Polski i prezydenta Wilsona, powrócili do konsulatu.

Zaostrzenie walki łodziami podwodnemi.

„Wobec odrzucenia propozycyi pokojowych przez koalicyę, państwa centralne postanowiły od dnia 1. lutego podjąć walkę łodziami podwodnemi w zaostrzonej formie i uniemożliwić w ten sposób wszelki ruch morski — O tem postanowieniu zawiadomiono notą wszystkie państwa neutralne w dniu 31 stycznia. Nota c. k. rządu austro-węgierskiego, która stała się punktem zwrotnym w obecnej wojnie, brzmi dosłownie:

„Austro-Węgry i ich sprzymierzeńcy podjęli w sierpniu 1914 r. narzuconą im walkę. Świadomość, że chodzi o obronę ich istnienia i ich interesów żywotnych, dodała im siły do wytrwania wobec przemocy nieprzyjaciół i osiągnięcia sukcesów, z którymi sukcesy przeciwników nie mogą się równać. W trzydziestu miesiącach wojennych sukcesy te umocniły się i powiększyły w tej samej mierze, jak plany zaborcze nieprzyjaciół zostały unicestwione. Austro-Węgry i ich sprzymierzeńcy mogły swe czysto obronne cele wojenne uważać za osiągnięte. Ta umiarkowana ocena i pragnienie uniknięcia dalszego bezowocnego rozlewu krwi zrodziły propozycyę pokojową czterech mocarstw związanych przymierzem. Przeciwnicy ich, zaślepieni szałem, że losowi przecież jeszcze nadadzą korzystniejszy obrót i zdołają nas zdruzgotać, odrzucili tę propozycyę w szorstki sposób. Postawili oni żądania w sprawie zawarcia pokoju, mające na celu zupełne zmiażdżenie czterech związanych przymierzem mocarstw i ich zniszczenie. Bóg i świat są świadkami, kto ponosi winę za dalszy ciąg wojny.

„Wobec zamiaru przeciwnika pokonania wojsk austro-węgierskich i ich sprzymierzeńców, zniszczenia ich flot i wygłodzenia ludności, walka musi się toczyć dalej na lądzie i morzu wszelką, choćby najostrzejszą bronią. — Tylko wzmożone zastosowanie wszelkich środków wojennych umożliwi skrócenie wojny.

Nieprzyjaciele już przedtem mieli zamiar odcięcia ruchu na morzu do Austro-Węgier i ich sprzymierzeńców i odcięcia tych mocarstw od wszelkiego dowozu.

Podobnie, jak na innych morzach, także na Adryatyku storpedowano bez poprzedniego ostrzeżenia okręty szpitalne, jak „Elektra“ i nieuzbrojone parowce osobowe, jak „Dubrownik“, „Bijocevoc“, „Daniel Ernoe“ i „Zagrzeb“. Austro-Węgry i ich sprzymierzeńcy odtąd zastosują te same metody, starając się wszelkimi środkami odciąć Anglię, Francyę i Włochy od wszelkiego ruchu ze strony morza i w tym celu od dnia 1 lutego 1917 r. w obrębie oznaczonego obszaru zamknięcia uniemożliwią wszelką żeglugę.“

W wykonaniu tego zamiaru, od dnia 1 lutego 1917 roku począwszy, w poniżej oznaczonych, na obu dołączonych mapach uwidocznionych obszarach zamknięcia około Anglii, Francyi i Włoch i we wschodniej części morza Śródziemnego wszelką bronią przeciwdziałać będą wszelkiemu ruchowi na morzu. (Następuje wyszczególnienie obszaru zamknięcia).

Okręty neutralne, wjeżdżające na te obszary, czynią to na własną odpowiedzialność. Chociaż postarano się także, by respektować w ciągu odpowiedniego terminu, o ile to jest wskazane, okręty neutralne, które w dniu 1-go lutego zbliżyły się w swej podróży do portów obszaru zamkniętego, to przecież usilnie należy doradzać, by okręty te wszelkimi, stojącymi do rozporządzenia środkami ostrzeżono i zawrócono. Okręty neutralne, które stoją w portach obszaru zamkniętego, mogą również bezpiecznie jeszcze opuścić obszary zamknięte, jeżeli wyjadą przed dniem 5 lutego i udadzą się najkrótszą drogą na obszar wolny.

Także tę decyzyę powzięły Austro-Węgry w zamiarze, aby przez skuteczne środki wojenne skrócić walkę i zbliżyć się do pokoju, w którym, w przeciwieństwie do przeciwników, wzięto w rachubę umiarkowane, żadną myślą zniszczenia nie dyktowane warunki, w tem przekonaniu, że ostatecznym celem tej wojny nie są żadne zdobycze, lecz wolny, zapewniony rozwój własnego państwa i innych państw.

W pełnem zaufaniu w wypróbowaną waleczność i męstwo swych sił na lądzie i morzu, a wzmocnieni koniecznością unicestwienia woli przeciwnika, zmierzającej ku zniszczeniu Austro-Węgier i sprzymierzonych z nimi mocarstw, wstępujemy z silną decyzyą, ale także pewni siebie, w przyszłą fazę wojny, że doprowadzi ona do rezultatów, które rozstrzygną ostatecznie długoletnie zmaganie się i usprawiedliwią ofiary mienia i krwi“.

Orędzie Wilsona o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Niemcami.

Na zapowiedziane przez państwa centralne zaostrzenie wojny łodziami podwodnemi, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej odpowiedziały zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Już na czwarty dzień po wręczeniu noty państw centralnych t. j. dnia 3 lutego prezydent Wilson wystosował orędzie do kongresu, w którem między innemi powiada:

„Wobec tego oświadczenia, które nagle i bez poprzedniej jakiejkolwiek zapowiedzi cofa z umysłu uroczyste zapewnienia, dane w niemieckiej nocie z dnia 4 maja 1916 r. rządowi Stanów Zjednoczonych, nie pozostaje żaden inny wybór, któryby się dał pogodzić z godnością i honorem Stanów Zjednoczonych, jak pójść drogą, którą zapowiedziały w swej nocie z 8 kwietnia 1916 r. na wypadek, gdyby Niemcy nie zrzekły się swoich metod wojowania łodziami podwodnemi.

Poleciłem przeto Lansingowi zakomunikować niemieckiemu ambasadorowi hr. Bernstorffowi, że dyplomatyczne stosunki z Niemcami są zerwane, że amerykański ambasador Gerard w Berlinie ma być natychmiast odwołany i że hr. Bernstorffowi ma się wydać jego paszporty.

Mimo, że ten nieoczekiwany postępek rządu niemieckiego i to nagłe, głębokiego ubolewania godne, odwołanie zapewnień, danych naszemu rządowi, następnie w chwili najbardziej krytycznego naprężenia w stosunkach między obu rządami, trudno mi uwierzyć, żeby władze niemieckie faktycznie zamierzały uczynić to, do czego się, jak nas zawiadamiają, czują uprawnionemi.

Nie mogę się zdobyć na to, żeby uwierzyć, że Niemcy nie wezmą w rachubę starej przyjaźni między obu narodami, albo swoich uroczystych przyrzeczeń i samowolnie przeprowadzając swój niemiłosierny program flotowy, będą niszczyły amerykańskie okręty i życia Amerykan. Tylko rzeczywiste, jawne czyny Niemców zdołają mnie o tem przekonać. Gdyby moje silne zaufanie w ich rozsądek i jasną oględność niestety miało się okazać nieuzasadnionem, gdyby ofiarą miały paść amerykańskie okręty albo życia ludzkie, wskutek bezwzględnego przekroczenia prawa międzynarodowego i przykazań ludzkości, to będę kongres prosił o upoważnienie do zastosowania środków koniecznych, aby naszych marynarzy i obywateli chronić na otwartem morzu przy wykonywaniu swoich pokojowych i uprawnionych przedsięwzięć.

Mniej niż to, nie mogę uczynić. Uważam za rzecz pewną, że wszystkie rządy neutralne pójdą tą samą drogą. Nie życzymy sobie wojennego konfliktu z rządem niemieckim.

Jesteśmy szczerymi przyjaciółmi narodu niemieckiego i życzymy sobie naprawdę utrzymać pokój z rządem, który jest tego narodu rzecznikiem. Nie uwierzymy w to, żeby ten naród był dla nas wrogo usposobionym, chyba, że dojdzie do tego, żebyśmy w to uwierzyć musieli i nie zamierzamy dalej nic, jak tylko rozumnie bronić niewątpliwych praw naszego narodu.

Nie żywimy żadnych zamiarów egoistycznych. Pragniemy pozostać tylko wiernymi prastarym zasadom naszego narodu, bronić naszego prawa do wolności i sprawiedliwości i do nienapastowanego życia. To są zasady pokoju, nie wojny.

Oby Bóg zrządził, żeby akty umyślnej niesprawiedliwości ze strony niemieckiego rządu nie wezwały nas do tego, żeby tych zasad bronić.“

Kronika tygodniowa.

Celem ostatecznego zakończenia sprawy szkolnej, której poświęciłem dwie ostatnie kroniki, dziś oddaję wreszcie głos rodzicom i opiekunom i na tem zamykam dyskusyę.

Onegdaj zgłosiła się do mnie ich deputacya, oświadczając przez usta swego przewodniczącego, że im zupełnie wszystko jedno, jaki system panować ma w szkołach średnich i jaki program nauk ma być zaprowadzony, rozchodzi się jedynie o to, by synowie ich i pupile nie przynosili do domu świadectw z dwójką i kieszeń ojcowska nie była potem narażoną na opłacanie czesnego, które jest zupełnie niepotrzebnym podatkiem.

Ponieważ ja im na to nic poradzić nie mogę, wskazałem, dokąd udać się powinni i jak rzecz przedstawić, by osiągnąć pożądany skutek.

Skoro więc sprawa szkolna schodzi w ten sposób z porządku dziennego, wraca nań znów wojna. Gdyby poszczególne części kroniki można było zaopatrywać osobnymi tytulikami, niniejszy rozdział, poświęcony wojennej mizeryi, powinien zaczynać się od słów: „Strasznych dożyliśmy czasów!“...

Bo, że tak jest, każdy mi przyzna, a kto jeszcze nie wierzy, zmieni wnet swe zdanie, gdy przeczyta dalszy ciąg mych wywodów, pisanych żółcią, nie atramentem!

Onegdaj zdarzyło mi się natrafić na ogłoszenie następującej treści:

„W przejściu z ulicy św. Filipa placem Słowiańskim, na ulicę Krowoderską, zgubiono stary trzewik damski. Łaskawy a rzetelny znalazca zechce się zgłosić pod adresem . . . gdzie otrzyma kilka koron nagrody.“

Dawniej, gdy kto znalazł taką zgubę, z pewnością na nią się nie popatrzył, dziś czasy się widocznie zmieniły, nawet stary trzewik damski i do tego sierota, ma swą wartość.

Ale nic w tem dziwnego, skoro niedawno czytaliśmy w *Kuryerku* w artykule kronikarskim, zatytułowanym „Kradzież kosztowności“, iż niewyśledzeni dotąd sprawcy zakradli się pod nieobecność właściciela do pewnego mieszkania i unieśli stamtąd jako łup tyle a tyle złotych przedmiotów, między innemi zegarków, brosz, kolii, kolczyków i pierścionków, oraz... parę starych butów!

Gdybym tego nie czytał był na swe własne oczy i przez swoje własne okulary, stanowczo nie wierzyłbym, by i stare buty zaliczano dziś do kosztowności! A jednak widocznie tak jest!.. Czy kiedykolwiek but, choćby najbardziej elegancki, przypuszczał nawet, że dojdzie do takiego zaszczytu by być traktowanym na równi ze szwajcarskim złotym chronometrem lub kolią, wysadzaną brylantami?... Ale dożyliśmy takich czasów i zupełnie słusznie możemy je nazwać strasznymi. Nie dziwię się też, że dziś każdy mistrz kunsztu szewskiego patrzy z góry na resztę zjadaczy chleba, bo, jeśli kiedy, to teraz stało się aktualne dawne przysłowie: „Poznać pana po cholewach“.

Szewcy patrzą więc na nas z góry, ja popatrzyłem też z góry na dół i aż serce mi na chwilę bić przestało, gdym spostrzegł, jak wygląda me obuwie, pochodzące jeszcze z przedwojennych czasów. I przypomniały mi się słowa natchnionego poety, który powiedział ongi, jakby w jasnowidzeniu:

„Kładę się! Buty otwierają łaty,
Kołków się szereg wysuwa zębaty,
A jeden słowo po słowie mi prawi:
— Popatrz, jak głód już wnętrzności me trawi.
Tydzień przemija, jak szwarcu nie jadłem,
Pożółkłem, cały zeschłem i pobladłem,
Boki się zewsząd otwierają moje
I ty nic na to?... Gdzież są szóstki twoje?“....

Mam ich, co prawda, jeszcze kilka w kieszeni, boć to pierwszego było niedawno, i do tego same żelazne, gdyż „my Polacy kochamy się w żelezie“... jak ktoś tam raz się podobno wyraził, lecz cóż ja z niemi pocznę, gdy para zwykłych trzewików męskich dochodzi już do stu koron!... Opowiadają, że pewnej cenionej artystce w dzień jej benefisu wręczył jeden z wielbicieli zamiast bukietu parę podeszew, słyszałem też, że któryś z krakowskich kamieniczników odstąpił w drodze zamiany swą trzypiętrową (prawda, że lekko obdłużoną) kamienicę majstrowi szewskiemu za sześć par trzewików dla siebie i rodziny. Prawda, że literat powinien chodzić bez butów, ma to być nawet, według słów ś. p. ks. Kneippa, bardzo zdrowem, w każdym razie nie w zimowej porze...

Więc proszę mi powiedzieć, czy czasy nie są naprawdę straszne?

Ba, gdyby to był tylko jeden jedyny cios, jaki w nas godzi! Niestety, tak nie jest. — Ostatecznie z czasem może przyzwyczailibyśmy się do obywania bez butów, jak obchodzą się bez nich i innych zresztą części garderoby mieszkańcy pustyni Sahary, ale wówczas musiałoby się u nas zaprowadzić inny klimat, o co, jak mnie zapewniono z miarodajnej strony, można się postarać dopiero po wojnie. Zmiana klimatu zależną jest u nas od wiatru zachodniego, wiejącego ku nam od Atlantyckiego oceanu, więc przez Francyę, która może się na to zgodzić, albo nie. W preliminaryach pokojowych ma ta sprawa być uwzględnioną.

Do chodzenia więc „na bosaka“ może się kiedyś przyzwyczaimy, wątpię bardzo natomiast, czy uda się nam do obywania bez jedzenia i picia, gdyż i na to się zanosi. Nasi panowie „jadłodawcy“, to jest restauratorzy i inne pokrewne im zawody, są nawet do tego stopnia przewidujący, iż podnoszą ceny potraw i napojów, zanim jeszcze ukaże się nowe wydanie taryfy maksymalnej lub nałożonym zostanie nowy podatek. Tak było teraz z cenami wódek. Podrożały i to bardzo poważnie w niektórych lokalach już na dwa tygodnie przed faktycznem podrożeniem spirytusu. Podatek ten wynosi trzydzieści halerzy od litra czystego spirytusu, wódki zaś podskoczyły w cenie o dziesięć do trzydziestu halerzy na kieliszku.

Restauratorzy i szynkarze tłumaczą się wojną, niech jednak będą konsekwentni i w zamian niech nie narzekają, gdy im władze wymierzają podatek od zysków wojennych, bo żaden z nich nie zaprzeczy, że, dzięki wojnie, ciągną zyski i to bardzo poważne, chyba, gdyby który nie chciał, ale takiego u nas nie uświadczy. Społeczeństwo spraktyczniało, każdy handlował czem mógł byle tylko zarobić i to grubo! Znam adwokatów, którzy wzięli się do skór, lekarzy, którzy „robili w cukrze“ szklarzy, którzy wyszli lepiej na mydle, niż ś. p. Zabłocki. Słowem handel, lecz przeważnie lichwiarski, rozwinął się u nas niebywale i tylko dzięki wojnie.

Co jednak ciekawe, to objaw, który zaobserwować można po różnych jadłodajniach. Ilekroć drożeją artykuły spożywcze, bodaj minimalnie, podskakują w cenie zaraz i potrawy po restauracyach, nigdy zaś nie tanieją, gdy cena artykułów, według nowej taryfy, staje się nawet wybitnie niższą. Interpelowałem w tej kwestyi jednego z panów odnośnych, odpowiedział mi, iż czyni to tylko dla wygody swych gości.

— Oni się już — mówił — do tych cen przyzwyczaili i według nich ułożyli swój budżet. Nie chcę im psuć równowagi!

Musiałem mu przyznać racyę, bo i cóż robić! Choćbym i nie przyznał, on postąpi, jak mu się podoba, wiedząc, że ludzie przecież muszą jeść i pić, zwłaszcza, jeśli kto nie posiada własnego ogniska domowego. A i żonatych jest dość, którym pieczeń, uwarzona w domu, nie smakuje!

Przy tej sposobności muszę wspomnieć o kuchniach wojennych dla głodnych inteligentów. Ze wszystkich stron słyszę dla nich pochwały i z przyjemnością to zaznaczam, nie biorąc naturalnie w rachubę narzekań pewnego hipochondryka, który za koronę żąda większych porcyi i większej rozmaitości, od czasu do czasu coś z drobiu lub dziczyzny, jakąś lekką leguminkę, na przykład omlecik z konfiturą, lub coś podobnego. Odpowiedziałem mu na to:

— Chwal pan Pana Boga, że i to jest i siedź pan cicho...

Dotkliwie zaczyna się nam natomiast dawać odczuć brak tytoniu, nafty i cukru. Bez tytoniu obejść się można bardzo łatwo, czego dowodem ludzie, którzy żyli wówczas, gdy właściwości tej rośliny jeszcze nie znano, a byli zdrowsi, niż my obecnie jesteśmy. Innego wprawdzie zdania są trafikanci, mający zarobek z tego, co my z dymem puszczamy, w zasadzie przecież muszą mi racyę przyznać, że używanie tytoniu jest nawyczką bardzo kosztowną, bez której można się zupełnie dobrze obejść i do czego należy powoli dążyć, zwłaszcza, że możemy się łatwo znaleźć w tem położeniu, iż braknie materyału surowego, z czegóż więc robić papierosy i cygara?.. Dziś już do ich fabrykacyi używa się różnych surogatów, które bynajmniej nie wonieją!..

Ale gorzej, że brak nam nafty i może braknąć cukru.

Co do nafty, to czytałem gdzieś, iż komisya aprowizacyjna wyznaczyła podobno po jednym i pół kilogramą na rok i głowę. To jest stanowczo zamało dla każdego samożyjca, w szczególności zaś n. p. dla literata lub dziennikarza, który musi pracować w domu, przy sztucznem oświetleniu, a nie stać go na elektrykę. Ta ilość wystarczyć mu powinna najwyżej na dwa tygodnie. Być może, pomylił się sprawozdawca, powinien był jednak omyłkę sprostować. Dzięki niemu przewiduję już dziś głód naftowy, choć go jeszcze nie doświadczam na sobie samym. Ogonki naftowe wydłużają się z dniem każdym, a jest to objaw nie wróżący nic dobrego.

Cukier, którego konsumcya ma być w najbliższym już czasie ograniczoną do czwartej części obecnej, może być łatwo zastąpiony sacharyną (dzięki temu podskoczyła już w cenie!...). Każdy chciałby sobie życie osłodzić, temu się chyba nikt nie dziwi, a ostatecznie każdemu też wszystko jedno, czy w tym celu użyje cukru, czy czego innego. Nad tem zastanawiać się nie potrzeba, raczej myśleć należy, czem zastąpić naftę, bo świec, nawet parafinowych, także brak. — Dzięki Bogu przynajmniej, że dni stają się coraz dłuższe, więc mniej światła potrzeba.

Na brak węgli natomiast nie narzekam. Obchodzę się bez nich doskonale dzięki bardzo praktycznemu pomysłowi, który już opatentowałem. Gdy w lecie mieliśmy upały, napełniłem gorącem powietrzem kilkadziesiąt butelek z gorzkiej wody i dziś, gdy mi zimno dokuczy, otwieram jednę po drugiej i zawartość jej wypuszczam na zewnątrz, co wpływa stanowczo na podniesienie temperatury pokojowej. Radzę każdemu, kto chce zaoszczędzić na węglach, by postąpił tak samo. Koszta minimalne, pożytek nadzwyczaj wielki!... Butelki nie muszą być bynajmniej z gorzkiej wody, mogą być z wina, piwa, wódki lub tym podobnych płynów. — Zamożniejsi mogą w tym celu używać i beczek, co ma jeszcze i tę dobrą stronę, iż, gdyby „wylanie“ z beczki gorącego powietrza nie pomogło, można beczkę porąbać i zapalić nią w piecu. Flaszki można co najwyżej sprzedać żydowi i za otrzymaną kwotę kupić parę kawałków drzewa i ze dwa brykiety.

Wobec tych najrozmaitszych wojennych braków pragnąłbym więc serdecznie, a ze mną zapewne i wielu z pomiędzy Czytelników, by pokój już raz zawarto. Ostatnia przepowiednia ś. p. pani de Thèbes głosi, iż rok 1917 będzie czarnym i czerwonym na płomienisto złotem tle, co niektórzy tłumaczą w ten sposób, iż na wiosnę obecnego roku wojna w łeb weźmie. Oby to się spełniło!... Gotów jestem w zamian, gdy wróżce zdrowia i powodzenia życzyć nie mogę, rozpisać składki na jej pomnik, choć ona i tego nie potrzebuje. Dość zostawiła swym spadkobiercom, bo podobno, prócz różnych drobiazgów, jak: willa, kamienica, zbiór obrazów i antyków, okrągło milion franków. Widocznie wróżbiarstwo, to fach bardzo popłatny, ale wynika z tego też, iż na świecie wiele jeszcze ludzi naiwnych, których łatwo wziąć na kawał.

Ale tylko francuskie wróżki mają takie szczęście. O ile wiem, krakowska wieszczka z Podbrzezia, bł. pam. Rifka Gęsiarka, znana szeroko na naszym bruku przed laty mniej więcej trzydziestu, nie zostawiła tak wielkiego majątku. Przynajmniej nie przypominam sobie, by jej szczęśliwi spadkobiercy dziękowali publicznie lekarzowi, który pomógł jej do przeniesienia się na łono Abrahama.

Co jednak pani de Thèbes, to nie jakaś tam Rifka, której klientela składała się przeważnie ze sług i szwaczek, ciekawych, jaki los je czeka, gdy tymczasem w salonie tamtej spotykało się damy z najwyższej arystokracyi. Nie nazywała się ona jednak de Thèbes, ale Wiktoryna Savigny i nie była wcale wdową, nawet po pustelniku, ale starą panną. Tytuł powyższy i charakter przybrała jedynie, by sobie dodać więcej powagi.

Choć *de mortuis nihil nisi bene*, przyznać przecież trzeba, że przepowiednie nie zawsze jej się udawały. Zwłaszcza wojenne zawiodły przeważnie, co jednak nie wpłynęło ujemnie na ich wiarygodność. Wystarczyło powiedzieć lub napisać, że tak twierdzi pani de Thèbes, wszyscy byli pewni, iż tak stać się musi, a nie inaczej... Chybaby!... Ja tam byłem zawsze niedowiarkiem w tym względzie i stanowczo nie wierzę, by wojna miała się skończyć już na wiosnę. Daleko więcej przemawia mi do serca i do rozumu przepowiednia jakiegoś naszego domorosłego wróżbity, iż wojna wówczas się zakończy dopiero, gdy ostatni z obywateli zjednoczonych królestw Kazimierza i Stradomia zostanie milionerem, a do tego jeszcze daleko, choć nagromadzono tam ogromne zapasy najrozmaitszych towarów, odmawiając natomiast prawa obywatelstwa taryfie maksymalnej.

Także i owo zaostrzenie walki łodziami podwodnemi nie przemawia za końcem wojny, również jak i zapowiedź koalicyi rozpoczęcia ofenzyw na wszystkich frontach. Jedna i druga strona są gotowe do ostatecznych wysiłków, ale nie można się wcale spodziewać, by rozstrzygnięcie nastąpiło tak rychło.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

W miejsce kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o pewnem znaczeniu. Litery te, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

T—n
o a
O—a
k—t
I—o
l—n
l—n
l—a
ł—a
o—o
n—s
ł—n
O—a
p—k
o—h
s—n
k—j

Szarada.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Pierwsza i druga, to gamy tony,
Co dwu źwiek zgodny razem stanowią,
Całość, to losu wyrok szalony,
Rzadko też kiedy szczęściem go zowią.
A chociaż twierdzą: Co kto zasłu y,
To mu powinno przypaść w udziele,
Wyjątkow jednak jest szereg duży,
Bowiem szczęśliwych bardzo niewiele!

Okienko.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	e	e	j
k		k		l
l	n	o	p	p
r		r		s
s	s	s	y	y

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Rumunii. 2 Miasteczko w Galicyi 3. Miasto w Belgii

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył H. Przepolski, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich samogłosek uzupełnić niżej zamieszczone przysłowie:

J. k K. b. B. g. t. k B. g K. b..!

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Poniżej rozmieszczone cyfry w ten sposób poprzestawiać, aby w rzędach pionowych, poziomych i wzdłuż przekątni otrzymać sumę 175. Dodane zaś do nich litery utworzą znany aforyzm.

1	2	3	4	5	6	7
c	n	e	m	d	c	z
8	9	10	11	12	13	14
k	i	w	o	ł	r	e
15	16	17	18	19	20	21
w	k	z	c	w	s	n
22	23	24	25	26	27	28
d	i	ż	m	m	c	i
29	30	31	32	33	34	35
o	a	a	ó	r	a	ę
36	37	38	39	40	41	42
i	u	i	i	i	i	e
43	44	45	46	47	48	49
k	c	i	j	ę	o	o

Grzebieniówka.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i imię zmarłego niedawno przyjaciela Polaków.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Linia krzywa. 2 Poeta czeski. 3 Ścisły egzamin. 4. Istota nadprzyrodzon.. 5. Wyd le ie 6. Kompozytor polski. 7 Zarządca. 8. Ptak. 9. Nazwisko i imię poety i kaznodziei czeskiego.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył III Ey., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) a a i, a a i.
2) a i a, a i a.

Bilety wizytowe.

Ułożył III Ey., Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ZDZISEK LEW SNACKI.

MARTA KLARA STYKA.

HELA T. BRUCKA.

ALBERT HUC.

BACKI.
PRUSY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego*: **Po ślubie.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 4.

Przysłowiówka: Boli gardło śpiewać darmo.

Łamigłówka:
Boj
osa
kos
rok
mól
wół
oko
Nil
Opa
kot
kir
sok
Jan
Oka
wir
Ewa

Zadanie do przestawienia: Z wielkiej chmury mały deszcz.

Grzebieniówka:

P	u	s	t	o	m	y	t	y
r		o		p		a		o
u		w		a		r		r
t		a		l		d		k

Rozsypane litery: Wart pałac Pac*a*, a Pac pałaca.

Logogryf:
A n h e l l i
R a d y k a ł
T e z e u s z
U l i k s e s
R y s z a r d
O r f e u s z
P e d a n c i
P a u l i n a
M a r c h e w
A t r o p o s
N i k o d e m
N i ż n i ó w

Kwadrat magiczny:
P a r a
a z o t
r o p a
a t a k

Zadanie do przestawienia: Kiedyś grzyb, to leź w kosz.

Trójkąt magiczny:
Z a w i s z a C z a r n y
A l k o h o l o m e t r
W ł a d y w o s t o k
I l u m i n a c y a
S a k r a m e n t
Z ł o d z i e j
A k s a m i t
C z e c h y
Z ł o t o
A d a m
R u m
N a
Y

Zadanie do przestawienia: Szkoda czasu i atłasu.

Bilety wizytowe: Kotlarz. Major. Optyk. Arcybiskup. Doktor.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, M Sokołowska Kraków S Karwowski Gniezno H Bukowska Winnica. R. Topolnicki Wiedeń. B. Osadziński Krosno. D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze. J Charzewski Kraków. S Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała. K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mankowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiorowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K B rowiecki Lwów M Golska Wiedeń M Ka zyńska Lwów. W Nowiński Tarnów, R Wojcik Przemyśl, Z Małecki Lwów, S Bury ski Jasło, M Borkowska Przemyśl. Z Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, W Sosenko Podgórze, K Ośliźło Pritzerbe, B Książek Mielec P astowe, Z Roszkowska No o ad mek

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **F. Horak Oświęcim.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Tydzień K. B. K. Trzeci już rok mija od czasu, jak rozpoczęły się zapasy wojenne. Przez prawie całą Polskę przesunęła się straszliwa fala bojów; tysiące naszych braci znosi śmiertelne trudy w armiach walczących, a młodzież nasza złożyła krwawą ofiarę w armii i w Legionach. Zaś poza tym, pełnym bohaterstw i smutku frontem bojowym pozostał kraj, spustoszony wojną, a okryty żałobą, pozostał ogrom cierpień i nędzy.

Dał nasz naród nieraz dowody, że umie walczyć i znosić te konieczności, jakie za sobą prowadzi krwawa służba wojenna. Ale powinien też zdobyć się na to, by nie dać zginąć bez ratunku tym słabszym, którzy poza frontem muszą znosić najcięższe wojny następstwa.

I to drugie zadanie, to jest ochrona i ratowanie od zagłady tych, którzy sami nie walczą, lecz na których skutki wojny najbardziej się odbijają, stało się celem pracy Książęco-Biskupiego Komitetu pomocy dla dotkniętych klęską wojny.

Książęco-Biskupi Komitet (K. B. K.) powstał w chwili, kiedy w kraju prawie żadne stowarzyszenie nie mogło działać. Dziś stosunki się zmieniły. Powstało wiele nowych dzieł dobroczynnych, starających się zaradzić niezliczonym potrzebom, wywołanym przez wojnę. Mimo to, zdaje nam się, że potrzeba, bysmy bez przerwy nadal pracę naszą prowadzili.

Na to jednak musi nasze usiłowania poprzeć społeczeństwo, tak życzliwością, którą zresztą dotąd cieszyliśmy się, jakoteż wydatną pomocą materyalną.

Uprosiliśmy Najprzewielebniejszych Księży Biskupów, by w dniu drugiego lutego b. r. zarządzili w wszystkich kościołach składki na Komitet Książęco-Biskupi. Prosimy też wszystkich, którym cele naszej pracy nie są obojętne, by w tym dniu lub w najbliższym tygodniu (od 2. do 10. lutego) pospieszyli z hojnemi ofiarami.

I w tej myśli, wobec rosnących ciągle potrzeb kraju naszego, udajemy się do wszystkich ludzi dobrej woli i do każdego z osobna z prośbą o ofiarę.

Jesteśmy pewni, że nasz naród, który tyle siły okazał wśród tak ciężkich przejść, teraz, ratując szczodrą ofiarą własnych braci, tem dziełem samopomocy udowodni, że jest zdolny do samodzielnego życia i ma prawo stanąć na równi obok innych narodów świata.

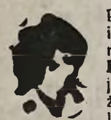
Książęco-Biskupi Komitet:
Adam Sapieha
Książę Biskup Krakowski, przewodniczący.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 321.

Krem twarzowy jako puder.



Precz z każdym pudrem, który tylko pory zatyka i bezwarunkowo robi z czasem zmarszczki w twarzy. Używajcie **perłowego pudru kremu dr. A. Rix** białego, różowego i kremowego. Krem puder jest prawnie chronony, zupełnie nieszkodliwy, żadna szminka, nadaje natychmiast matową, delikatną cerę. Do pielęgnowania skóry i piękności niezrównany i oszczędny w użyciu. Próbna doza kor. 2·—, większa doza na cztery miesiące wystarczająca koron 4·—.
Wysyła pod ścisłą dyskrecyą

Kosmetyczne laboratoryum dra A. Rixa

Wiedeń IX. Lakiergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 37. Perfumerya pod „Kometą". K. Miklaszewski, plac Dominikański. **We Lwowie:** Perfumerya Sładowskiego, apteka pod srebrnym Orłem, ulica Krakowska 1. **W Białej:** Droguerya Polaczka, ul. Kolejowa. **W Cieszynie:** Schw. Hunddrog i Anckerdrog.

Wielce interesująca

Skrzynka z widokami



z ciągłym zmieniaczem obrazów. **Tylko dla Panów** Do tego **50** bardzo pikantnych zdjęć fotograficznych. Obrazy przedstawiają się **nadzwyczaj pięknie i bardzo plastycznie,** a także przez ciągłe przesuwanie się obrazów jako pikanterya, panorama ta kupowaną jest bardzo chętnie przez Panów. **Kompletna panorama wraz z 50 fotografiami** tylko **K 5·—. Dyskretne wysyłki** tylko wprost za zaliczką przez

M. SWOBODA, Wiedeń, III/2, Hiessg. 13—31.

W pole wysyła się tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

KINO-WANDA

przy ulicy św Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Kupuję i sprzedaję

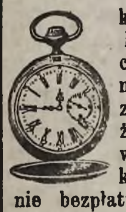


złoto, srebro i brylanty oraz wszelką biżuterye nową i antyczną. Płacę najwyższe ceny.

Zakład zegarmistrzowski i jubilerski

J. Cyankiewicz, ul. Sławkowska 24.

8 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła:

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K. 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12·—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masywne srebrne zegarki „Roskopf" K 19·—, 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniedzy!

Administracya Nowości illustrowanych

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik"**
Wacława Grabiańskiego
cena 1 kor.

b) **„Gruba Berta"**
Stefana Nowińskiego
cena 3 kor.

c) **„Po ślubie"**
Artura Gruszeckiego
cena 4 kor.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a)* 50 hal., dla *b)* i *c)* po 70 hal.

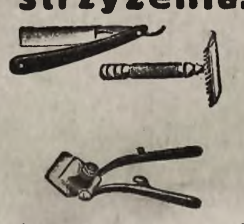
Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się.

Najpiękniejsza pamiątka światowej wojny!

Dla uczczenia naszych bohaterów, polskich Legionistów oraz wszystkich oddziałów wojsk armii austr.-węg. otrzyma tę pamiątkę każdy, kto nadeśle wojskową lub cywilną fotografię. — Nie jest to żadne malowidło, lecz uniform wykonany na welinowym papierze w kolorze szarym i może być z wszelkiemi odznaczeniami i szarżą w przeciągu 14 dni dostarczoną. Cena K 12–13 Na żądanie prospekt Nr. 38 darmo i opłacony. Zastępcy poszukiwani

M. E. Schlosser, Wien III., Invalidenstrasse 1.

Dobry aparat do golenia i strzyżenia.



Ia. brzytwa z srebrnej stali K 3·50, 4.—, 5·—, aparat bezpieczeństwa do golenia niklowany K 3·—, 5·—, marka „efekt" z 6 nożami K 16.—, 20.—, podwójne noże rezerwowe za tuzin K 5·—, 6·—. Ia. maszynka do strzyżenia K 11·—, 12·—. Wysyłka za pobraniem lub poprzedniem nadesłaniem należytości. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniedzy.

HANNS KONRAD
dom wysyłkowy w Brüx, Nr. 1747. (Czechy).

Trociny drzewne

sprzedaje

Zarząd Wodociągu miejskiego, Kraków, Dz. XII., Senatorska 1.

Wschodnie perły!

Nowy wynalazek! Skończona imit. prawdz. pereł. „Orient" **perły mają równą wagę! kolor!** połysk! farbę! ciężar! kształt! wielkość jak prawdz. perły. Nie niszcza się nawet po latach. Dla reklamy też osobom prywatnym po cenie hurtownej: 1 sznurek pereł wraz z modną spinką I ej jakości K 35 — II j. 25.— Kuczyki (w prawdz. oprawie urzęd. cechowane) 25.— rubki K 20 — i t d. Prospekty zadarmo! Także na spłatę! Zastępcy poszukiwani

Orient-Perlen Engros
Wien II/J. Praterstr. 50 Tür 6

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych

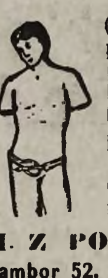
HUMORYSTYCZNY KALENDARZ „BOCIANA"

na rok 1917

już wyszedł drugi nakład i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana", Kraków XV. Przesyłkę uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. 40 halerzy, na porto 10 hal., lub 60 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Bandaże na przepuklin



(ruptury, bruchu pępka, brzucha, pachwiny i worka. Opaski brzuszne dla pań i panów. Prostotrzymacze. Bandaże na żylaki i t d.

M. Z POLACZEK,
Sambor 52. Cenniki darmo.

SUKNA

jedwabne materye i modne materye dla panów i pań poleca firma

Prokop Skorkovský i syn

Humpolec, Czechy.

Próbki przesyła się na żądanie tylko bezpłatnie wprost do konsumentom. Towary w dobrym gatunku.

Zwięzły a wyczerpujący podręcznik do nauki

stenografii polskiej

wydał

STANISŁAW KORBEL, profesor Akademii Handlowej w Krakowie.

Cena egzemplarza oprawnego w płótno **koron 3·50.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Założony w roku 1900! — Założony w roku 1900!

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie**

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.
Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

ADMINISTRACYA „Nowości illustrowanych" odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Właściciel i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.